

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz potajem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zhr. 3; na prowincji z przesyłką pocztową zhr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zhr. 2 cent. 75, na prowincji z przesyłką pocztową zhr. 3 cent. 50.

W. W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

## Gasnące dzieci.



— Nie rozumiem, co się Kaziowi stało, o ciężały, stracił chęć do nauki, wlecze ją jakoś leniwie—tyle tylko, co z musu,—co dzień jest posepniejszy...

— Mój Stach spochmurniał. Stracił wiarę w swe własne siły, chociaż doskonale lekcję umie, zawsze ma obawę i troskę o to, iż wkrótce nie będzie umiał dobrze odpowiedzieć...

— Manusia, dawniej taka zdawała się zdolna i bystra, teraz jakby przytępiony miała umysł. Nie ma zamiłowania do żadnego rzemiosła, liczy tylko minuty, kiedy się lekcya skończy.

Tak żalą się matki, tak opowiadają o dzieciach swoich, nie chcą zrozumieć, iż dzieci ich gasną, nikną.. Są jak owe lampki, w których zabrakło oliwy, są jak owe rośliny, które żar słoneczny wypalił.

Takie dzieci gasnące, widzi się wszędzie, co krok, co chwila, co dom, co rodzina, co szkoła i kuźnia wiedzy, straszna, okropna kuźnia, bijąca młotem bez litości, byle tylko wybić w pamięci tyle a tyle dat, tyle a tyle nazw, tyle a tyle formułek.

Co tam dusza dziecka, co tam serce jego, co tam te oczy, które się rwą do motylka, lub bazi rozwitej na drzewie, co tam życie, wrażenia, piękno, słońce... byle tylko naukę klepać i klepać, dopóki siły i technienia!...

Tak zamęczają terazniejsze szkoły nasze dzieci, tak maltretują je formułkami i nawalem prac, aż dzieci istotnie tępieją, milkną, zniechęcają się, chmurzą, byle jak wszystko wykonywują, słowem, *gasną*, jak lampki, w których oliwy zabrakło...

I potem na takie dzieci wała się krzyków i gniewów całe potopy...

— Co się z tobą stało?... chłopczel! co się z tobą stało? byłeś dawniej chętny, pilny, aż miło było ciebie chwalić, teraz jesteś leniwy, tępy, wpół senny...

— Co się z tobą stało? — pytają innego, — miałeś taką bystrość i pamięć tak wyborną, iż zachwycałeś profesorów, teraz ledwie co wykujesz i to zaraz zapomnisz...

Co się stało, — wy nie wiecie?

Zgasło wam dziecko i już jest jak uwiędniony kwiat—tylko się przypatrzcie uważnie, wpatrzcie się w jego duszę i serce, odkryjecie rzecz bardzo smutną — dziecko jest przemęczone, a więc wpół zabite wtedy, kiedy ono rozkwitać bujnie by mogło, kiedy by mogło urastać wszystkimi siłami fizycznymi i moralnymi, w jednostkę, zdolną szczęście nieść i brać...

Gasnące dzieci tracą najpierw zamiłowanie do nauki i to jest już ciężką bliźną, trudną do zagojenia. Bo tak długo nauka jest słońcem ozywczem, jak długo nie spala żarem przemęczenia i przymusu.

Dzieci uczące się prywatnie, w domu rodzicielskim uratowane są od przemęczenia, bo zwykle mają pedagogów psychologów, którzy umieją indywidualność dziecka poznać i do niej system naukowy zastosować. Ale dzieci uczące się do szkół, padają ofiarą strasznych omyłek. Indywidualność każdej młodej jednostki musi się podporządkowywać pod sumnę klasy, program nauk i system koszarowy, nie uwzględniający nic z duszy dziecka, lecz wtłaczający wszystko pod prasę pamięci,—idzie tak po dzieciach naszych, jak gradowa ciężka chmura.

Ale nad to wszystko gorsza jest groza noty za dawane odpowiedzi, która tak bezlitośnie smaga i zabija samodzielność i tak, jak na targowisku cheiwym lichwy, odważa każde słowo i myśl, czyli warta „dobrze“, „dostatecznie“, lub „źle“, iż doprowadza do naj-

smutniejszych skutków. Nasze dzieci nie uczą się dla ukochania wiedzy, nie uczą się dla tego, ażeby bogacić ducha, wiedzę i serce, ale uczą się dlatego tylko, ażeby zdobyć *postęp* i otrzymać świadectwo.

Dziecko nasze, wychodząc co każde rano do szkoły, widzi przed sobą jedno tylko srogie widmo: profesora i katalog... Po każdej godzinie skończonej, zostaje u dzieci jedno tylko nowe wrażenie:—byłem pytany—lub nie byłem pytany. Wróciwszy do domu dziecko bierze znów stos książek do ręki i wszystkiego się uczy z mozolem, bez zamiłowania, bo ono nie uczy się dla siebie, dla swego życia, lecz dla profesora i dla świadectwa. Raz, drugi, trzeci raz skarcone w klasie dziecko za zapomnienie jakiegoś jednego wyrazu, raz—drugi, trzeci raz niesłusznie otrzymawszy notę niedostateczną za pracę wytrwałą — poczyną upadać na siłach, zatracają chęć i zapał, gaśnie.

— Nie będę tego umiał, mamo!... nie będę tego umiał,—żali się chłopczek, chociaż lekcję powtórzył 20-cia razy i umie ją doskonale.

— Ależ umiesz, nie lękaj się!... wszak na każde pytanie odpowiedziałeś dobrze...

— Przy profesorze nie będę umiał, on zaraz powiada: „źle“ i już nie wiem...

Takie zatracenie wiary w swą umiejętność u dziecka jest nieszczęściem bardzo smutnym. Przed grozą ostrości szkolnej dziecko nabiera lęku, a tem zabija wiarę w zdolności i w skutek pracy...

Po trzech, czterech latach podobnej trwogi i pracy bez wiary w wartość jej istotną, stają przed nami dzieci—starce, o chmurnych czołach, o wejrzeniach kryjących się, o sercach zimnych i zwątpiałych...

Rodzice częstokroć nie poznają dzieci swoich własnych. Sądzą, że one popsowały się i zleniwiły, że zasługują na surowsze upomnie-

nia, więc wtedy jeszcze i dom dobija dalej każdą chwilę wytchnienia. W domu raz po raz powtarzają:

— Czemu się nie uczysz? Z ciebie nic nie będzie! Widzisz, jak spadasz w opinii nauczycieli, z każdym rokiem stajesz się gorszym.

O! prawda... dziecko staje się coraz gorsze, ale i coraz biedniejsze... gaśnie w nim pogoda słonecznej wiary, iż wszystko w życiu można zdobyć, iż można ramiona wznosić do najwyższych ideałów, iż można brać niebo wytrwałością i prawdą... bo jemu powtarzają słowa zniechęcenia raz po raz, bo rzucają w nie, jak kamieniami potępiania, mówiąc:

— Z ciebie nic nie będzie!

— Nigdy! O nigdy nie kamieniujecie wy—nauczyciele, tak naszych dzieci... nigdy! O nigdy wy rodzice nie zabijajcie tak waszych dzieci! Dziecku trzeba nadziei, wiary, ufności... jemu trzeba pomocy do tego, by „mierzyło siły na zamiary, nie zamiar wedle sił,“ dziecku trzeba sto słońc płomiennych rozpałać nad głową, a nie wolno gasić jednej — choćby najmniejszej gwiazdy!...

Powiedział mi niedawno, jeden z bardzo światłych pedagogów:

— Nie pytajcie nigdy dziecka, gdy wraca ze szkoły:— czyś był pytany,— lecz pytajcie, czegoś się dziś nauczył?

Jednak troska o „pytanie“ dziecka stoi zawsze przed rodzicami i zawsze dziecku zasłania szeroki widnokrąg wiedzy dla dobra bo powiada, że ona dla świadectwa.

Przemęczone systemem szkół wadliwie urządzonych, nasze dzieci, niechajże w domu bodaj znachodzą warunki, pokrzepiające ich ducha i zasilające wiarą, iż praca ich nie pójdzie na zdeptanie i sponiewieranie.

Te dzieci, które zdawały się dawniej zdolne, bystre, chętne, a dziś są tępe, ociężałe leniwe, to nie są dzieci gorsze, tylko zga-

szone lampki, którym nie dano oliwy, tylko więdnące rośliny, które żar słoneczny opala...

Ulitujcie się, o rodzice, nad gasnącymi dziećmi i otoczcie opieką staranną, ażeby uratować od zupełnego zwątpienia i niechęci przepracowaną młodzież...

Jakie środki ku temu — rozważymy to w następnej pogawędce.

Jadwiga z Z. Strokowa.



Marya Rodziewiczówna.

## Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Jakże daleką była jej miłość dla brata koleżanki, od tej pory kochała już wiele razy: włoskiego tenora, rozczochanego dekadenta, i wreszcie teraz kochała Ludka Morzyńskiego.

Zresztą która z panien nie kochała Ludka Morzyńskiego, siostrzeńca starej, bogatej Gelichowej, która z panien nie chciała się wydać za niego, która z matek nie marzyła o nim, jako o zięciu.

— Właściwie, z kąd on się wziął ten Luddek? — spytał raz pan Bolesław, znalazłszy się w gronie damskim swej rodziny, i słysząc tysiąc zachwytów o tej nowej karnawalowej gwiazdce męskiego rodzaju.

Posypały się objaśnienia.

— Jakto, nie wiesz? Ten co u Leonów prowadził tańce.

— Ten wysoki blondyn, co mówi te pyszne monologi.

— Jedyny spadkobierca Gelichowej.

— Kandydat na dyrektora w „Concordyi.“  
— Przytem fachowiec, pisuje artykuły handlowe.

— Ten, co się pojedynkował z Matiasbergiem.

— Mówicie wszystkie co on robi, a ja się pytam, z kąd się wziął?

— Jakto? z kąd się wziął? Przecie siostrzeńiec Gelichowej. Syn jej siostry zapewne. Człowiek, jak widać, najlepszego towarzystwa i form doskonałych. Bywa w najpierwszych domach.

— Dlaczegoż o nim nikt nie słyszał do śmierci syna Gelichowej?

— Był ubogi, podobno ciężko zarabiał na życie gdzieś na prowincyi, w jakiejś cukrowni. Zresztą,—co mu masz do zarzucenia?

— Nic. Może tylko to, że za bardzo doskonały! — zaśmiał się pan Bolesław. — Gelichowa ma milion, co do tego niema wątpliwości. Luddek jest tedy dobrą partya, a prawdy o nim dowiem się, jak się ożeni. Wtedy ten legion zawiedzionych wyszpera o nim wszystko złe!

Ale Luddek z ożenieniem się nie kwapił. Tańczył, flirtował, bawił się, pograżał w rozpacz lub uszczęśliwiał coraz to inne panny i matki, i tak minęło dwa karnawały.

Do Zarębów wprowadził go Józio-muzyk. Poznali się na balu, czy w knajpie, i przyszedł na jakąś „herbatkę.“ Dzień ten Manusia przekłuła szpilka w kalendarzu. Siedzieli u stołu obok siebie, rozmawiali o ostatniej operze, o wspólnych znajomych, o przyszłym karnawale.

Gdy się dowiedział, że to będzie jej pierwszy występ, poprosił o pierwszego walca. Pod koniec kolacji już flirtowali!

Manusia tej nocy wcale spać nie mogła. „Kocha! kocha!“ — szeptało coś w niej radośnie.

Po kolacji zaraz wyszedł i rzekł jej na pożegnanie:

## NA WERANDZIE.

(Pogawędka).



„Ot, wesoły goniec, pieszczoch Boży, Maj; ziemia z końca w koniec, jak rozkoszy raj,“ — chciałoby się powiedzieć z Lirnikiem wioskowym, widząc, jak się drzewa na gwałt rozwijają, jak kwiaty barwią się, jak leją się strumienie ciepła z błękitów wyjaśnionych, a gwar ptaszęcy dodaje czaru temu pieszczochowi Bożemu. Ale czy nie wydają się ironią słowa poety, że ziemia „z końca w koniec“ wygląda jak raj rozkoszy?... Piękny mi raj!... niepokój, trwoga, niepewność jutra, strumienie łez i krwi—oto, jaki widok przedstawia ziemia „z końca w koniec,“ że chcąc nawet pomarzyć o wiosnie, pomarzyć nie sposób, nie sposób na chwilę zapomnieć, że inaczej, niż w pieśni na tej ziemi się dzieje. Ale cóż winna ta ziemia umajona, to słońce niosące ciepło i życie, że ludzie mordują się i sami sobie wytworzyli piekło na ziemi?... Wiosna robi swoje: czaruje, nęci, wabi... Pragną

jej szczególnie miast mieszkańce, np. nasza Warszawka, zamknięta w murach swoich, nie mogąca mieć najmniejszego pojęcia o czarach wiosennych. Spaceruje na ulicach są niemożliwe, bo corocznie odbywająca się z wiosną naprawa bruków, nie zachęca do nich wcale; kurz tumanami się unosi, a nawet na Nowym-Swiecie pojawił się hotelik jakiś, którego motor naftowy tak dalece zanieczyszcza powietrze, że wszystkie niemal pisma miejscowe wielki gwałt podniosły, stając w obronie powietrza.

Powietrza!... ba, tego czystego, zdrowego powietrza nie szukać na bruku naszym. Potrzeba wynosić się za miasto, jak to się wszędzie w cywilizowanym świecie praktykuje — tam dopiero można odetchnąć swobodniej i dać odpoczynek płucom umęczonym i... zanieczyszczonym. Ale — ale spróbujcie użyć pieszko, bez licznej kompanii, bez bronii palnej przy sobie przechadzki zamiejskiej. Nie dość, że spotka tam ciebie rzezimieszek ukryty, który nie tylko nie zadowolony się zawartością twojej kieszeni, ale ma dziwną satysfakcję w utoczeniu niewinnej krwi twojej. Taka perspektywa nie zachęca do podobnych wycieczek,

a że nie zawsze masz prawo z bronią się uwijać, na co specjalne pozwolenie mieć potrzeba; że nie zawsze szukasz towarzystwa nawet znajomych sobie osób, boć są chwile, w których samotności pożadasz, w których byś chciał sam jeden z naturą pozostać, pomarzyć w ciszy leśnej—nie innego ci nie pozostaje, jak nie chcąc zbyt wczesnie do ojców się udać, korzystać z miejscowych ogrodów. Mniejsza już o tłum, o ciągłe miganie się rozmaitych osób przed oczyma twojemi, byleby mieć odrobinę zieleni i tego świeżego powietrza. Pozostaje więc ci parę ogrodów. Ogród zaś Saski, jako znajdujący się w śródmieściu, najbardziej ci przypada do smaku, boć jeżeli jesteś człowiekiem pracy i nie masz dość czasu na dalsze wycieczki, choćby do Łazienek, Ogród Saski zadość uczynić ci musi, zielenią muraw i gazonów upieścić oko twoje i dać parę łyków... powietrza.

Niestety!... Ogród Saski rajszulą się staje i niech co chce sobie p. Szanior mówi, ale to powiększanie i rozszerzanie dróg (alejami nie śmiem ich nazwać), kosztem muraw i gazonów, ani estetycznym, ani praktycznym nie jest.

— Boję się dłużej zostać. Znadto pani uroczą.

Wprost od Zarebów pojechali z Józkiem do Filharmonii na koniec koncertu, i tam się rozstali.

Józio poszedł na salę, gdzie nań czekała „znajoma,” Morzyński pozostał w kontramarkarni, zamienił parę słów z jedną z „panienek,” śliczną brunetką, i poszedł do umówionej cukierni, czekać na nią.

Ale o tem Manusia nie wiedziała, chociaż naiwną nie była, i o nieprawościach mężkich nasłuchiwała się dość od koleżanek, ale jak każda—myślała, pewna była, że ten jej wybrany jest wyjątkiem, i że taki, który ją kocha, zdradzać nie może.

Od jesieni szykowano się u Zarebów do występu Maniusi w świat. Były całe kongresy niewieście nad próbkami materiałów na suknie, były rady i narady, dysputy i spory o fasony i krawcowe, były rozpaczę nad złym krojem stanika i zachwyty nad gatunkiem gazy, i ciężkie troski nad uczesaniem, i zdwojona ilość wizyt po domach, gdzie miały być wieczory.

Manusia zupełnie oszołomiona, dawała się się wodzić, rozbierać i ubierać do miary, zwiedzać magazyny i pracownie strojów, i marzyła o Ludku Morzyńskim.

Zarebina też była na niego zdecydowana. Zrazu wolała radcę Salnickiego, który utrzymywał zażyłe stosunki, i często z pod obwisłych powiek rzucił na piękną dziewczynę spojrzenia starego fauna; ale gdy Ludek bywał począł, i gdy się upewniła co do funduszu Gelichowej, poczęła radcę zaniebować i w bliższym kole nawet go krytykować.

— Stary dziad, cynik, próchno! Manusia może wybierać. Jest na to dość piękna i posażna.

Starej Gelichowej nikt nie znał z razu. Ludek ją spopularyzował. Zwykła, pospolita, zahukana żona fabrykanta, stała się matroną

wielkich cnót, wzorem i cudem. Zaczęto ją odwiedzać i zapraszać, uważano za ozdobę salonu, za zdobycz rautu. Grubą, ordynarną, czerwoną staruchę pokazywano sobie, kazano się przedstawiać, sadzano na pierwszym-miejscu. Z początku była zażenowana i wystraszona, potem przejęła się rolą i uwierzyła sama, że jest czemś osobliwym. Nosila z pompą swój majestat, pozwoliła się czcić!

Nie wiadomo jaką intrygą sprowadzono ją do Zarebów. Był to tryumf nielada. Wywołał też mnóstwo plotek, złośliwości i krytyk wśród grona znajomych. Wszyscy, a raczej wszystkie, które poprzednio same zdobyły już Gelichową, nazywali Zarebinę interesowaną i intrygantką. Wrzało z tej racji czas jakiś, ale na szczęście Zarebina oprócz córki na wydaniu, miała syna kawalera, więc trzeba było z nią politykować. Zresztą wir nadchodzącego karnawału nie dawał czasu nawet na długie obmawianie kogoś jednego. Było tyłu do obmowy!

Nareszcie odbył się ów pierwszy bal Maniusi.

Była cała białą ubrana, wyglądała ślicznie i miała szalone powodzenie. Tańczono do białego dnia. Zarebina bohaterko wytrzymała na swem stanowisku — na kanapie, ale w karecie już zasnęła, rzuciwszy ostatnie swe wrażenie:

— Dobrze się udało i przyszyka pod pudrem nie było znać. Tylko uczesanie trzeba zmienić, ogromnie cię postarza. I za wiele tańczyłaś ze studentami.

Manusia odrzuciła główkę w głąb karety, jakby upojona. Nie pamiętała z kim tańczyła, tylko pamiętała każde Ludka słowo, komplement, spojrzenie, uścisk. Jej młode, zdrowe ciało poddawało się chętnie wrażeniom zmysłów, podnieconych atmosferą balowej sali, muzyki i tanecznemu zbliżeniu. Zasnęła potem snem niezdrowym, niespokojnym, krótkim, zaledwie parogodzinnym.

Po kilku dniach nastąpił drugi bal, potem trzeci i czwarty, w przerwach bywano w teatrze, przyjmowano u siebie, życie stało się wirem zabaw i niesłychanego podniecenia.

— Karnawał krótki, trzeba korzystać! — powtarzano w około. Czasami, jak ostroga do dalszych zabaw i boju o „partię“ dowiadzano się: Janek taki to oświadczył się o Zosię taką to, lub Zosia taka to, wychodzi za Jasia takiego to. Wtedy inne mamy i córki ze zdwojoną energią—balowały!

Karnawał dobiegał kresu, a Ludek się o Maniusię nie oświadczał. Zarebina była wściekła, o ile taka istota leniwa jak ona, mogła być wściekła, a Manusia była zdesperowana—o ile dobrze wychowana panna może okazać desperację. Wdały się w to wreszcie rozmaite kochające ciotce, nagadały Maniusi jak się ma zachować, urządziły pułapkę.

Sprowadzono Ludka na mały, prywatny raucik familijny, zostawiono młodych zręcznie na dłuższe sam na sam w półciemnym buduarze, Manusia wyszła sploniona, Ludek pobladły — i nazajutrz zjawił się z urzędową wizytą — z oświadczeniami.

Tak się to zwlekło, że pozostał już tylko jeden bal, na którym Zarebina tryumfująca mogła przedstawić swym rywalkom parę zaręczonych — i zapadł post!

Maniusi los był zapewniony, zdobyto najłakomszą partię, w rodzinie zapanowała ogólna radość. Nie wiele matek może się pochwalić, żeby córka odbyła tylko jeden karnawał.

Ze szczęścia Zarebina była aż rozczulona, i już zaczęła się skarżyć:

— Nie dali mi jedynaczką się nacieszyć. Toć prawie dziecko, tak chciałam ją jeszcze parę lat w domu utrzymać. Ale cóż robić—taka dola matek, i wola Boża, i powołanie kobiety!

I naprawdę miewała to mówiąc łzy w głosie.

Bo do estetyki nie należą bite gościńce w ogrodach, po których wozy mogą wygodnie się toczyć, jako też puste place świecające łysiną ziemi piaszczystej (zwróćcie uwagę na skrzyżowanie się ulic między Żelazną-Bramą i placem Saskim a bramami od Marszałkowskiej do Niecałej). Jeżeli ta pusta przestrzeń ma służyć na zabawę dla dzieci, a to niech mi już trochę gazonu wytłoczą, ale zasiejcie ją trawą, co miłszem będzie i dla oka i zdrowsze dla płuc, niż kurz, powstający od skakania i biegania dziatwy. Rozkoszniej ona będzie hulala na bujną trawą zarosłym gazonie, ale oddajcie ogrodowi to, co jego być powinno. Pozostaje więc względnie praktyczny. Ogród Saski jest po środku miasta i przeciął komunikację między dwiema dzielnicami jego. Ruch jest duży, dla wygody więc przechodniów musiano powiększyć liczbę dróg i rozszerzyć te drogi. Ale też rodzi się pytanie: czy ogród jest dla *przechodniów*, czy dla tych, którzy chcą w nim chwil parę zostać i zaczerpnąć zdrowego powietrza? Zdaje się nam, że wszelkie ogrody mają jedynie cel tylko, a jest nim: spacer po nim, nie zaś, by służył dla *przejścia* z dzielnicy do

dzielnicy. Celem ogrodów jest pozostawanie w nim, nie przechodzenia tylko. Wszelki więc względ na praktyczność, musi być na drugi plan usunięty, bo zdrowie coś także znaczy i, choć w ogrodzie, nie chciałbym nurzać się w kłębach pyłu i widzieć wstrętne *ulice*, zamiast pięknie wyciętych alei, wijących się pomiędzy zielenią gazonów. Ulubiony Ogród Saski, pozbawiany systematycznie kobierców, cięty drogami nie grzeszącymi wcale symetrią i pięknem, przestanie wreszcie być miejscem spaceru i wypoczynku, lecz będzie li tylko linią komunikacyjną, a wtedy nie już na przeszkodzie nie stanie przeciąć ulicę od Marszałkowskiej do Niecałej i puścić po niej pojazdy. A z czasem—mogą po bokach tej nowej arterii miejskiej i piękne kamienice stanąć i... *nec locum ubi Troia fuit*. Do takiego rezultatu prowadzi coroczne zbrzydzenie niegdyś pięknego ogrodu. Mówi się wprawdzie o zaprowadzeniu ogrodów na łąkach Skaryszewskich, o parku Bielańskim i t. p., ale czekaj Bartku latka na te przyszłe miejskie rozkosze; tymczasem, to co pod nosem mamy, dobrowolnie psujemy.

Ale bo w ogóle dziwnie jakos u nas go-

spodarka idzie. P. Włodzimierz Łada, do prawdy, że nieprawdopodobny fakt notuje w „Kuryerze Warszawskim.“ Oto: w jednym z naszych pięknych kościołów u OO. Franciszkanów w Krakowie odbywa się restauracja. Między innymi ma być ufundowana mozaika szklana. Dotychczas sprowadzaliśmy ją z fabryk niemieckich, obecnie mamy w Krakowie własny zakład witrażowy i mozaiki szklanej. Zdawałoby się, że nie prostszego, jak dokonać zamówienia w zakładzie krajowym, zwłaszcza, że ten zakład ofiarował się po rokowaniach zrobić po równej cenie z niemiecką firmą w Innsbrucku. Tymczasem zamówienie powędrowało do fabryki niemieckiej.

Daremne były przedstawienia i coraz niższe oferty. Nareszcie zakład krajowy—rzecz trudna do wiary—ofiarował się wykonać mozaikę za darmo, powtarzam: za darmo, byle przekonać, że przewyższa firmę niemiecką. Ale klasztor się nie zgodził.. Kościół polski będzie miał ozdobę z niemieckiej fabryki i zapłaci za nią słono, byle nie mieć pracy rąk polskich, ofiarowanej bezinteresownie.

Czytając te słowa, pomimo wiarogodności

Manusia była szczęśliwa — kochała i była kochaną. Miała wtedy skończonych lat sześćnaście.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## TESKNOTA.



Rwie się znów we mnie dusza  
Jak dziki potok z wiosną,  
Tęsknota lecieć zmusza —  
U ramiń skrzydła rosna...

Przedemną znów dal sina  
Majaczy we mgłach, woła,  
Jak macierz swego syna,  
By wracał w obręb siola.

Znów wichry nocą ciemną,  
Nad dolą dni tulacza,  
Bolejąc wspólnie ze mną,  
Zawodzą, jęczą, płaczą...

A mnie się serce kraje,  
Coś z chaty mnie wygania,  
Kędy nieznane kraje  
Mgła sina w krąg przysłania...

Gdzie wieczne dmą wichury,  
Królują mechy i skały,  
I szary świat ponury  
Tęsknotą owian cały...

Ile na ziemi błędnych dróg,  
Tyle w dal tęsknot bieży,  
A zna je tylko jeden Bóg,  
Władzący wśród bezbrzeży...

Ile jesienią liści pnie  
Z ciągłego gubią drżenia,  
Tyle serc ludzkich co dnia schnie  
Z tęsknoty i pragnienia...

I ten, co w złocie pańskich szat  
Zwykł chadzać, pełen pychy,  
Często samotność wita rad,  
I bywa tęskny, cichy...

I ten, co cierpi nędzę, głód,  
Nie znając, co to strzecha,  
Gdy ujrzy we śnie szczęścia cud,  
Przez sen się doń uśmiecha...

I ten, co zbrodni krwawych plam  
Nie zliczył od poczęcia,  
Miewa, nie wierząc sobie sam,  
Momenty wniebowzięcia...

Chadzasz tęsknico po ziemi,  
Jak wieczny, błędny wędrowiec,  
Spowita mgłami srebrnymi —  
Gdzież kres dróg twoich, ach, powiedz?

Kroczą za tobą miliony,  
Pokoleń suną szeregi,  
W przestwór posepny, zamglony —  
Gdzież obiecanych ziem brzegi?

Nigdyż nie będzie ostoja  
Tryumfu święciej godziny?  
Azaliż nigdy dłoń twoja  
Mgły nie uchyli tej sinej?

Azaliż z góry dla ziemian  
Wyrokiem strasznym sądzono  
Życ i umierać na przemian,  
Z duszą daremnie stęsknioną?...

### Tęsknota:

Niestety, rodzie człowieka!  
Tęsknić — twój los, przeznaczenie,  
Czy kiedy szczęście cię czeka,  
Czy kiedy plony śmierci żenie...

I nigdy tęsknot twych końca,  
Ni kresu pragnień nie będzie,  
Póki nie skrzepnie żar słońca,  
Co byt i dolę twą przedzie...

Póki się w biegu nie wstrzyma!  
Czas — rączka wieków lawina,  
Póki przed twemi oczyma  
Majaczyć będzie dal sina...

Wiktor Dzierżanowski.



## Praca u podstaw.



Idźmy do mas ciemnych, pozostających w warunkach gorszych od naszych z niesieniem dokładnej umiejętności i gruntownego fachu, z uświadomieniem konieczności rozszerzenia zakresu kulturalno-hygienicznych potrzeb i ogólnego wykształcenia, z budzeniem poczucia obowiązków braterskich, obywatelskich, rodzinnych, obowiązków krwi i serca, z napominaniem i zakłębieniem przed szerszeniem zgnilizny — klęski publicznej, z wezwaniem do sumiennej, wytrwałej, zrzeszonej pracy, która rozwiąże nareszcie wszystkie zatargi na polu ekonomiczno-społecznym, ze szczepieniem zamiłowania do natury, nowego trybu odśrodkowo-dośrodkowego, czyli miejsko-wiejskiego życia, rolnictwa, ogrodnictwa, sadownictwa, pszczelnictwa, rzemiosł, — co dla kogo bardziej odpowiednie i przyjemne, a wpajaniem szacunku dla rzeczy powstałych z pracy ludzkiej, do genialnych twórców ludzkości i wykwitu natury, z podnoszeniem wstrętu sięgania po cudze rzeczy, płynącego z posmaku żądzi i lichoty moralnej, ze zwiększeniem uzdrowotnienia, a zmniejszeniem śmiertelności, nieprzewidzeń i kalectw, rujnujących ludzkość jednako na dobrobycie i moralności...

Idźmy do opanowanych przez lenistwo wybujałe na podłożu zwyrodnienia lub przepracowania cielesnego, do ujawniających usposobienie chorobliwe, podminowane namiętno-

korrespondenta, wierzyć się nie chce. Rozwijaj się tu przemysł krajowy, jeżeli ciebie znać nie chcą — i — za darmo korzystać z ciebie. Czem Ojcowie umotywiają tę swoją niechęć do wyrobów krajowych — a przecie słówko wyjaśnienia z ich strony byłoby powinno.

Wracając do spraw bieżących grodu naszego, zaznaczyć musimy, że wkrótce przesłane Dynasy istnieć przestaną. Magistrat zatwierdził projekt parcelacji tej własności ks. Świątopelk-Czetwertyńskiej. Posessya ta, obejmująca 142,000 łokci kw., podzieloną zostanie na działki i stworzone zostaną dwie nowe ulice równoległe do ulicy Topiel. Ziemię pod te ulice, jeżeli będą oddane miastu bezpłatnie, magistrat obowiązuje się wybrukować i oświetlić, lecz z warunkiem, jeżeli szerokość tych ulic wynosić będzie mniej więcej ośm sążni. A teraz znowu nasuwa się nam pytanie, czy nie kręcimy się w jakimś kole zaczarowanym projektów ogrodowych. Ogród na łąkach Skaryszewskich, park na Bielanych, ogród pod cytadelą — a tymczasem gotowy ogród na Dynasach panowie kamienicznicy z przed nosa nam zdmuchną, jak to

się stało przed niedawnymi laty z ogrodem Kronenbergów przy ulicy Marszałkowskiej.

— Ale, mój panie, miasto niema pieniędzy na kupno Dynasów takich.

— A czy bez pieniędzy na łąkach ogród założysz?... a jeżeli do tego dodamy ów park bielański, ogród na eksplanadzie i tyle innych ogrodowych projektów, — to kto wie, czy nie opłaciłyby się Dynasy, bądź co bądź, pamiętkowa nawet trochę miejscowość. Nikt zresztą nie pomyślał o zachowaniu tej miejscowości. Ach! za lat może nie wiele, dziwne z ciebie będzie miasto, Warszawo! miasto bez powietrza, miasto bez zieleni, [miasto bez ogrodów. Ale u nas inaczej, inaczej, inaczej!...

Że *inaczej*, czy nie ciekawy jest list, jaki redakcja „Kurryera Warszawskiego“ otrzymała od doktorki Maryi Fijałkowskiej. „Pozwól mi, redaktorze, opisać swoją przygodę lekarską, choćby w celu przestrzeżenia kolegów-lekarzy. Bawiąc na Świętach Wielkanocnych u swych krewnych w Przedborzu (gub. Radomska), z kąd przed tygodniem wyjechał jedyny w mieście lekarz p. K. do armii czynnej, zmuszona byłam zgłaszającym się do

mnie chorem udzielać pomocy lekarskiej. W drugi dzień Świąt zgłosił się do mnie miejscowy felczer z prośbą, abym pojechała do p. M., właściciela jednego z folwarków okolicznych, położonego o kilkanaście wiorst od Przedborza, dla udzielenia pomocy dziewczynce, chorej na dyfteryt, co felczer potwierdził odpieczętowanym już listem, przywiezionym przez służącego z folwarku. W poczuciu obowiązku ludzkości i ulegając prośbie felczera, zaopatrzona w środki lekarskie, o których była mowa w liście, udałam się do wspomnianego folwarku. Zajechawszy przed dom, spotkałam p. M., który widząc, że przyjechał do jego chorego dziecka nie d-r K., zwrócił się do mnie w sposób bardzo grubiański z pretensją, iż zajęłam mu konie i przyjechałam zupełnie przez niego nie wzywana, przyczem zwymyślał furmana i felczera; następnie nie tylko nie przyjął mnie do domu, ale nawet odmówił odesłania mnie wraz z felczerelem swojemi końmi, pozostawiając nas w położeniu prawie bez wyjścia, gdyż jak zaznaczyłam, działo się to w drugie święto Wielkanocy. Jak nazwać takie potraktowanie lekarza i kobiety?“

ściami wybuchowemi, do włóczęgów, przestępców, kryminalistów—tej trupio-bladej, głodnej, zdziczałej, nie mającej żadnej społecznej wartości nędzy, której każdy się boi i uciekając a nie zaradzając, nigdy się jej na zgubę własną i potomstwa swego nie zbędzie; idźmy do tych wszystkich wysortowańców i przedłożmy im abecadło wiadomości popularnych i prawd podstawowych, a przprzedzimy szeregi istnień nadpsutych i wykołejonych, dając natomiast społeczeństwu zastęp ludzi użytecznych, szanowanych i moralnie szczęśliwszych, a zniesiemy to najgorsze z najgorszych wieczne niewolnictwo materyalne, które nie daje możności rozszerzyć ducha, możności westchnąć całą swobodnie dyszącą piersią.

Na 100-u Francuzów kształci się w szkołach 15-u; Anglików—16-u; Amerykanów 25; w Niemczech uczęszczanie do szkół jest obowiązkowe i powszechne; w Galicyi tylko 5—7% dzieci nie odwiedza szkoły; u nas 60—70% analfabetów, a i ci, co czytać umieją, niezbyt często się posługują w życiu tą swoją umiejętnością w kierunku poważnego czytelnictwa.

Stosunek wsi do miast w Królestwie jest 78% do 22%, a tymczasem tylko połowa włóścian ma minimum potrzebne do opędzenia potrzeb codziennych—druga zaś przypada na emigrację i nędzę, która nie umie ani zarobić, ani w żaden sposób sobie zaradzić.

Mamy szkół miejskich, wiejskich i fachowych za mało; niedzielnych tylko 80—znaczy to, że wsie nie są uposażone w takowe i nie mogą korzystać z nich, a przecież starsi, swobodni tylko w dni świąteczne mają jedynie tylko te chwile do rozporządzenia; nie mamy świetlic dla przyzwoitych rozrywek, któreby mogły zastąpić dawne szynki i dałyby możność spędzania czasu przyjemnie; nie wygłasza się wcale lub zbyt mało odczytów, uświadamiających o moralności, higienie, ostrożności w czasie chorób, w leczeniu w nagłych wypadkach, w gospodarstwie społecznym i wspól-

dzielości, jak to naprzykład dzieje się w Galicyi, choć wiemy, że w interesie ogółu leży rozwój jaknajszerszego panowania dobrobytu; niema szkół kucharstwa i gospodarstwa dla dziewcząt wiejskich, oraz innych, któreby się wprawiały w jakiś fach; wieś umie jedynie uwarzyć zacierki, barszcz, omaścić ziemniaki i sporządzić groch z kapustą, gdy tymczasem możnaby niejedno w ogrodzie dla siebie i na zbyt zasadzić, nie wie ona, jak sobie z tem poradzić, a nie umie jeszcze własnej krzywdy dochodzić...

Ściskamy się w mieście, że niemal z ust sobie wzajemnie musimy kęs chleba wyrwać, a tymczasem prowincya leży odlegiem i ciągle błaga o trochę promieni słonecznych, trochę pracy nad sobą ideowo-kulturalnej;—czyż nie zasłużymy na haniebne miano egoistów, którem już tak często i tak słusznie historia piętnowała naszą inteligencję?...

Mamy mało popularnej, artystycznej i naukowej literatury, mało i za drogie czasopisma, a żadnej codziennej gazety ludowej lub robotniczej, brak biblioteczek doborowych, a śpiew chóralny świecki i produkuje muzyczne, choćby niezbyt subtelne i wyszukane, zastępuje chyba jaka przygodna sztuka akrobatyczna lub pajacowska, a już niema co mówić o teatrze amatorskim, bodaj, o deklamacyi, wspólnych wycieczkach z zachowaniem prostoty i braterstwa; zbyt wolno się rozwija poprawa rolnictwa; mało wystaw i wszelkich specjalnych zjazdów, któreby pobudzały ludzi do wzmożonego umysłowo-kulturalnego życia, do czynu, do budzenia się z letargu bierności, do wzajemnego wspierania się kosztem bodaj stanowych interesów, jeśli one są hamulcami dobrobytu ogólnego.

*J. Siekierz-Cichńska.*



Jan Łada.

## PIÓREM I OLÓWKIEM.



(Ciąg dalszy).

Już też trudno od tej chwili oderwać oczu od widoku tak dobrze znanego z życia i z dawnych uniwersyteckich wykładów. Z roztarzeniem przechodzi się obok resztek teatru Bachusa-Dionizosa i obok Odeonu Heroda, choć w innym czasie zatrzymałyby uwagę; cóż to w porównaniu z Partenonem i ze świątynią Nike Apteros, które widać tuż po nad głową w górze, zachowane tak dobrze, że z tej odległości robią wrażenie, jakby nie były ruinami. A jednak i Dionizosowy teatr i Odeon warte są więcej, od przelotnego spojrzenia.

„Święty teren Dionizosa“ rozciągał się na szerokiej przestrzeni po za olbrzymiem półkolem, w którym odbywały się widowiska, poświęcone bogom. Należały do niego szerokie krużganki poprzedzające teatr, oraz t. zw. Stoa Eumenia, długi ozdobny portyk, dochodzący do Odeonu. Pierwotnie była tu tylko okrągła Orchestra, z ołtarzem Dionizosa w środku i tu odbywały się przedstawienia, przy których aktorowie odróżniali się od chóru wysokimi kołnierzami. Publiczność stała naokoło, a miejsce amfiteatru zajmowała ubita ziemia, w półkole podnosząca się, podobnie jak obecnie piętrzą się stopnie amfiteatru.

Właściwy gmach teatralny stanął dopiero później ze Skeną, otoczony dwoma Paraskeniami i zakończony z tyłu dekoracyjnym portykiem, t. zw. Proskenionem. Dziś jeszcze można odróżnić wyraźnie składowe części teatru, mimo że był przebudowywany wiele razy; ostatnie dwa razy za czasów wielkiego mecenasa Aten, cesarza Hadryana i później w III-em stuleciu. Marmurowe płyty, które-

A no, nazwać można dość łatwo. Postępek tego pana wart jest napiętnowania, tylko nam się zdaje, że on jest tak wyjątkowy, tak szalenie trąci myszką przebrzmiało-szlagońską, że uogólniać go nie sposób. Na wsi, może być, że ludzie nie przyzwyczaili się jeszcze do kobiety-lekarka, ale bądź co bądź, zaściankowicze nasi, lekceważąc kobietę jako lekarza, jako dla kobiety są zawsze uprzejmi. Przykry tu doktorka nasza spotkała wyjątek, zaznaczenie jednak faktu zawsze może się na coś przydać i dlatego bez wahania powtórzyliśmy go tutaj.

Z bruku warszawskiego nowości żadnych nie mam. Pomimo głosów występujących przeciwko wyścigom, wyścigi się odbywają. Mniejszy zdaje się jest obrót totalizatora, niż zwykle, ale to nie zmańdrzeniu ludzi przypisać należy, lecz biedzie ogólnej, która wszystkim bez wyjątku odczuwać się daje. Tyle żebrani i takiej w żebraniu śmiałości, co teraz, nigdy nie było. Nie tylko na ulicach w bezczelny niemal sposób zaczepiany zostajesz, ale potrzebujący przychodzą do domów i nie kontentują się datkiem im danym, lecz z góry naznaczają, ile masz dać. Meż-

czynna da sobie jakoś radę z natrętem, ale kobiety w niemalym strachu bywają.

Filantropia robi, co może, robi nawet dużo, lecz oczywiście, że mimo najlepszej chęci i wysiłków, zapobiedz ogólnej biedzie nie może. Tego tłum pozbawiony zarobku z powodu strajków zrozumieć nie może; niemożność bierze za niechęć, ztąd narzekanie, złorzeczenie i odgrążanie się. Rozmawiałem nieraz z temi biedakami, a rezultat rozmowy był jeden.

— Wiem, panie, to tylko, żem głodny!...

Na taki argument nie znaleźć odpowiedzi. I ja bywałem głodny, to też rozumiem doniosłość tych słów.

Może nie zawadzi mi wspomnieć na tem miejscu o zmianach, jakie zaszły w niektórych codziennych pismach naszych. „Wiek“ jak wiadomo, zmienił tytuł i przezwiał się „Kurryerem Narodowym.“ Zmianę tę zapoczątkował doskonałymi artykułami z chwili bieżącej. Artykuły społeczne i narodowe szczególnie pióra Kazimierza Zalewskiego, są wysmienicie pisane. Nie mam potrzeby zachęcać do poparcia tego starego, a w nowej szacie przedstawiającego się nam pisma. Chwali

się ono samo i zyska przyjaciół. „Goniec“ pod nową redakcją coraz ciekawszym się staje i groźnym jest współzawodnikiem dla pism innych. O „Kurryerze Codziennym“ już pisaaliśmy. Zaznaczyć też wypada, że „Biblioteka Dzieł Wyborowych“ pod redakcją Wł. Jabłonowskiego staje się coraz pożądanszą i przynęca doskonałymi pracami. Obecnie drukuje powieść Chońskiego „Gasnące słońce,“ które we Włoszech tak szerokie i zasłużone uznanie zyskało.

*Kazimierz Gliński.*



## PERŁA.



Jest perła-gwiazda ku życia ozdobie,  
Dla ludzi biednych klejnot to za drogi!  
Tak cenna wielce, że kupić ją sobie  
Największy bogacz bywa — zbyt ubogi...  
Kto ją posiadał, niech innym opowie  
Z jakich świetlistych ją wyłowil toni?  
Nie jeden moczarsz próżno za nią goni.  
Ach!... Gdyż ta perła „lżę szczęścia“ się zowie...

*Ad. K.*

mi wyłożona była Orchestra, pozostały nie-  
tknięte, tak samo, jak i stopnie amfiteatru.  
Na stopniach i w arenie porozrzucane całe  
rumowisko marmurowych złomów, kawałków  
kolumn, kapiteli lub głazów, wyjętych z da-  
wnego muru lub z fundamentów. Mimo wie-  
ki, które nad nim przeszły, pentelijski mar-  
mur lśni w słońcu białością swą, jakby świe-  
żo odbity od skały. Nad nim wyrasta buj-  
nie chwast polny i błękitnieją dzwonki dzi-  
wnych jakichś kwiatów.

W górze, po nad świętym terenem Dionizosa, rozciągał się święty teren Eskulapa, który miał tu swoje sanktuarium (Asklepeion), a obok znów wznosiła się na stoku Akropolu świątynia Temidy i Izys. Dziwni byli ci starożytni ze swym kultem religijnym dla wyobrażeń, które nam wydają się całkiem świętości pozbawione, jak teatr, medycyna i jurysprudencja. Z tego wszystkiego pozostało tylko trochę gruzów: więcej z sąsiedniego odeonu Heroda. Ostatni ten gmach był w przeciwieństwie do teatrów pokryty dachem i przeznaczony zapewne przedewszystkiem dla produkcji muzykalnych, odpowiadałby zatem mniej więcej dzisiejszym salom koncertowym. Ale rozkład podobny do teatralnego: tak samo w półkole idzie amfiteatr siedzeń, między którymi rozchodzą się promienie kurytarzyków. Przez arkady perystylu wrażenie dobrze zachowanego wnętrza, odkopanego przed pół wiekiem, jest istotnie imponujące.

Teraz droga zaczyna się podnosić i zakręcać ku górze. Ale lepiej drogę zostawić i boczną ścieżką piąć się w górę wśród zapyłonych krzaków i najeżonych kolcami aleosów. Wreszcie staje się naprzeciw bramy, poprzedzonej placikiem. To odkopana przed pół wiekiem przez Beulého i nosząca jego nazwę brama wchodowa do Propyleów. Po nad nią wznoszą się, osłaniając ją z obu stron ciężkie bastiony, pochodzące z czasów, gdy Akropol zmieniono na twierdzę. Szczególniej z lewej strony mury są zupełnie nowoczesne, z epoki panowania weneckiego. Przy wejściu kilku stróżów — wstęp, jak wszędzie w Grecji bezpłatny. Podziwiać trzeba tę bezinteresowność ubogiego kraiku, w którym wszystko stoi dla zwiedzających otworem bezpłatnie, a napiwki nie są znane. A Włochy tak blisko, a Turcyja pod boki, a Grek słynie z żądzy zarobku. I pomimo wszystko *mancia* i *bakczysz* nie są znane, a przynajmniej żądane: dorożkarz nie oczekuje nie po nad takse, a w hotelu biorą co kto da, z tym samym uprzejmym uśmiechem wdzięczności, czy 10 lept, czy drachmę.

Dość wysokimi i stromymi schodami, zręcznie wsuniętymi pomiędzy ruiny dawnych, wchodzi się ku Propyleom. Nie kuszę się opisywać Akropolu, bo nie sprostałbym zadaniu. Wrażenie jest wielkie, większe od tego, jakie wywierają wszystkie najslawniejsze ruiny starożytnego świata, z wyjątkiem chyba samotnej i pępnej Poseidonii. Szczególniej obok Partenonu imponuje mała, ale prześliczna świątynia Ateny Nike czyli Nikeapteros, arcydzieło harmonii i wytworności. Stoi ona nad prawym bastyonem, tuż prawie po nad bramą, a z otaczającego ją gzymsu roztacza się jeden z najcudniejszych w świecie

widoków. Szeroka falista przestrzeń zielenieje okryta bujną trawą wzgórzami, pomiędzy którymi wśród dolin i jarów bieleją kręte nici gościńców i rozrzucone z rzadka grupy domostw, oraz ciemne gąszcze niewielkich gajków. Dalej rozróżnić można wyraźnie stary i nowy Faleron z nadmorskimi ogrodami i willami. Po za nimi rozciąga się morze, zamykające widnokrąg półkolisto ciemno-szafirową smugą, przez którą przegładają dalekie brzegi Salaminy i sąsiedniej mniejszej wysepki Psyttaleja, a po za nimi dalej jeszcze widać wyniosły brzeg Knidy. Więcej na prawo żółci się nad morzem, w środku wyraźnie zarysowującego się półwyspu, pomiędzy zatoką Pirejską i Falerońską, bogaty i ludny port ateński Peireus. Z przeciwnej strony wzrok ogarnia obszerne, samotne, gruzami usiane przestrzenie dawnego Areopagu i wzgórza Pnyxu, za nimi zaś bezludny także i cichy pagórek Museion z pomnikiem Filopapposa u szczytu.

Kształt Nike-Apteros jest podłużny, dzięki dwóm przeciwległym perystylom o czterech kolumnach, a doskonała rekonstrukcja świątyni z jej własnych składowych czynników, jedyna, jakiej w ogóle dokonano na Akropolu, przynosi prawdziwy zaszczyt archeologicznej wiedzy i sumiennosci jej niemieckich budowniczych. Dokoła fryzu zachowała się dotąd większa część słynnych płaskorzeźb, których resztę ukradli Angliacy, a szczęśliwsi ode mnie towarzysze wycieczki mogący je dojrzeć, lub udający, że je widzą, rozplývają się nad klasyczną szlachetnością mitologicznych kompozycji.

Jak cudnie wyglądać musiał Akropol, gdy od bramy wchodowej wiodły w górę szerokie marmurowe schody, uwieńczone tem przedziwnem cackiem z marmurowych krużganków, jakim były, a po części dziś jeszcze w swem zniszczeniu są Propylee. Król Ludwik I-szy spróbował odtworzyć je w Monachium, jak próbował odtwarzać tyle innych rzeczy; ale na prozaicznej bawarskiej płaszczyźnie, pod ołowianem niebem północy, Propylee monachijskie zimne i sztywne nie mówią nic i nie dają nawet dalekiego wyobrażenia o Akropolis, tak samo jak Glyptoteka i dwie Pinakoteki nie dają wyobrażenia o greckiej świątyni, a kościół św. Bonifacego lub dworska kaplica — o staro-chrześcijańskiej bazylice.

Trzeba istotnie być na Akropolu i widzieć w pogodny dzień wiosenny, lub w noc księżycową ten podwójny wieniec kolumn, ujmujący szczyt wzgórze w kształcie wielkiego T z podniesionymi w górę końcami, aby mieć pojęcie o niezrównanym uroku, jaki wywiera. Smukłe, lotne kolumny na tle przezroczystego szafiru, wyglądają naprawdę, jak widziadło. Rzekłbyś, że kawał Olimpu rzuciły w tem miejscu na ziemię nieśmiertelne bogi, tylko, że jakiś tytan złośliwy i zazdrosny zniszczył i zdruzgotał swym młotem te cudne przybytki, ślad tylko zostawiając dawnej ich nadziemskiej piękności.

Cały Akropol jest jednym rumowiskiem płyt marmurowych i głazów, kawałków kolumn, gzymsów i fryzów. Wszystko to bieleje jak śnieg, białe złomy leżą na innych poczerniałych już i mchem obrosłych, pomiędzy nimi pną się chwasty i trawy, ujmując

śnieżne płyty zielonym pierścieniem, a woń macierzanki i innych górskich ziół tak jest silną i przenikliwą, że aż odurza. W trawie brzęczy rój much i chrząszczy polnych, w żłomach kapiteli swiergoce ptactwo, wiatr pochyla czasem gałąź bluszczu, wijącego się dokoła leżącej kolumny — zresztą cicho tu zupełnie i zupełnie samotnie. Stróże pozostają u dołu, jedni przy wejściu, inni w ukrytym na przeciwnym stoku góry muzeum. Na szczycie niema nikogo, prócz starych murów i kolumn, starych wspomnień i starych zapomnianych bogów.

Jak innym był widok otwierający się z Propyleów przed oczyma wędrowca w czasie, gdy cały środek góry okryty był przybytkami różnych bóstw, a przed każdym bieleł się istny las marmurowych posągów i kunsztownie rzeźbionych ofiarnych trójnogów. Nie było jeszcze wówczas kolosalnego posągu Apryppy, który stanął przed Propyleami dopiero za czasów Augusta. Ale już wśród Propyleów stało mnóstwo przedziwnie pięknych posągów i płaskorzeźb, między nimi posąg Ateny Hygei, patronki zdrowia, Hermes propylejski, wyobrażenie Charytek, Perseusz Myrona walczący z Meduzą, młodzieniec przy ofiarnym trójnogu Lykiosa, lwica spiżowa, w której podanie ludowe widziało wyobrażenie tak samo nazwanej kochanki Arystogejtona Leány, słynnej z tego, że na torturach nie wydała tajemnicy mordu Tyrana.

Zaraz za Propyleami zaczyna się Braurion, święty teren Artemidy Brauronii, której przybytek otaczały szczególną czcią attyckie niewiasty, a posąg w środku celli był dziełem Praxytelesa. Wśród wotywnych darów dokoła świątyni odznaczał się Strongelion, naśladowany koń trojański, tu stał posąg Ateny, wytrącającej flet Marsyasowi, oraz wyobrażenie walki Perseusza z Minotaurem. Obok leżał przybytek Ateny Ergane, patronki sztuki i przemysłu, po którym nie pozostało śladu, oraz miał wznosić się posąg poświęcony jakimś bóstwu przez Hermolikosą.

Z przeciwnej strony Propyleów rozpoznać jeszcze można miejsce, na którym wznosił się sławny spiżowy posąg Ateny-Promachos Fidyasza, przedstawiający boginię w pełnej zbroi z puklerzem i włócznią, której złożone ostrze mogli zdala dojrzeć żeglarze, przyplývający od przylądka Sunion. Po nad teatrem Dionyzosa, na skraju świętej góry, wznosiły się kolosalne grupy posągów, ofiarowane bogom przez króla Attala pergamskiego na pamiątkę zwycięstwa nad Celtami. Podobnie, jak posągu Agryppy, nie było też zbudowanej w tym samym czasie, przez spodlony i płaszcący się demos ateński, z subsydyami cesarowami świątyni bogini Romy i Augusta.

A teraz, minawszy resztki Hekatompedonu, starodawnej świątyni Ateny, zniszczonej przez Persów, a następnie odbudowanej jako skarbiec bogini, królującej na Akropolu, staje się przed Erechteionem.

Jedynie to w swoim rodzaju dzieło greckiej sztuki, do żadnego innego nie podobne, fantastyczne, nierówne, złożone z trzech części na różnych poziomach leżących i z sobą złączonych — a przedewszystkiem pełne niezmiernego uroku. Z wschodniej części, prostylosu

o sześciu jónskich kolumnach, wylał jedną i uwiózł lord Elgin, słynny rabuś ateńskich starożytności, który też i Nike Apteros pozabawił części fryzu. Wewnątrz celli znajdował się starożytny posąg Ateny Polias z oliwnego drzewa, przed którym palił się wieczny ogień w złotej lampie. Pomiedzy wschodnią a zachodnią halą wznosił się właściwy Erechteion, t. j. Erechtheusa, a za nim w wazkiem przejściu, łączącym południowe skrzydło z północnem, znajdowały się cudowna Poseidonowa studnia, oraz ołtarze Hefaistosa i Poseidona.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Aż nakoniec w protokule, którego przeczytać nie umiała i tylko krzyżykiem podpisała, udało się zaznaczyć słowa, które można było wyzyskać wykrętnem tłumaczeniem. I zapadł wyrok, mocą którego podsądna uznana została za heretyczkę i czarownicę — i jako taka, według wymagań prawa oddana została władzy świeckiej, a ta dokonała w formie, co było już spełnionem w treści, wydając wyrok śmierci.

W straszliwej chwili, na widok wysokiego stosu, z wbitym pośrodku palem, wspomniła dziewczica swoje lata młodociane, uczuła, jak ciężko umierać w pohańbieniu i męczarni, nie mając jeszcze lat dwudziestu — i zapłakała tak rzewnie, że obecni sędziowie, żołnierze i kaci uczuli niespokojne wzruszenie. A natychmiast potem zbudziła się w niej bohaterka: śmiałym krokiem rycerskim wstąpiła na katedrę, przykrępowana łańcuchem do słupa, podniosła oczy w górę i już tylko w Bogu pograżyła się całkowicie. Jeszcze z kłębow dymu i snopów płomienia słyhać było, jak wołała Jezusa...

Król, który Dziewicy Orleańskiej zawdzięczał koronę, Francya, która jej zawdzięczała niepodległość, szlachetni rycerze, jej sławy towarzysze, przez cały czas trwania procesu nie nie przedsięwzięli dla jej oswobodzenia z rąk nieprzyjacielskich. I dopiero w parę dziesiątków lat po jej męczeństwie Karol VII nakazał rewizję Roueńskiego procesu, aby legalnie i formalnie wykazać omyłkę sądową i powrócić cześć oswobodzicielce Francyi. I dopiero po pięciu wiekach, za pontyfikatu Leona XIII-go, została kanonicznie zaliczoną w poczet błogosławionych, Joanna d'Arc, święta patronka miłości ojczyzny.

Jednym z najpiękniejszych niewieścich kwiatów na polu humanistycznej kultury była najwspanialsza kobieca postać z ojczyństw naszych dziejów — królowa Jadwiga.

Postać ta wykwitła na gruncie najróżnorodniejszych składników plemiennych: ojciec jej, król węgierski, Lois wielki, był potom-

kiem francuzko-włoskiej dynastji Andegawenskiej, a rodził się z Polki Elżbiety Łokietkówny; matka była córką bana Bośnijskiego i także Piastówny, Gniewkowskiej księżniczki. Wpływy zewnętrzne były niemniej różnorodne. Urodzona na Węgrzech, wychowana w Austrii, królowała w Polsce. Z tej różnorodności składników fizycznych i duchowych wytworzyła się szczęśliwie natura pod każdym względem przebogata. Jadwiga, — właściwie Hedwiga, — była na podziw kształtna ciałem i urodziwa obliczem, które połączyło wdzięk i świeżość słowiańskiej kobiety z głębokością ciemnego oka i regularną linią rysów romańskiego typu. Wewnętrznie — to samo połączenie najcenniejszych darów: pewny i jasny instynkt moralny, niezłomna moc ducha, umysł poważny w sądzie i w pojęciu żywy. Na takim podłożu moralnem potoczyły się dzieje jej życia nie po wypadków pochyłości, lecz w kierunku, jaki im własną swą ręką nadała.

Dramatyczność jej losu rozpoczęła się już w siódmym roku życia niezwykłym w takim wieku wypadkiem: Dnia 15-go Czerwca, 1378-go roku, w pogranicznym między Austrią a Węgrami Haimburgu dla widoków politycznych króla Loisa i księcia Leopolda Habsburgskiego zaślubioną została synowi ostatniego Wichalmowi czyli Wilhelmowi, za ledwie parę lat od siebie starszemu. Została zaślubioną nie zaręczoną, bo według despotycznych rodzicielskich zwyczajów średnio-wiecznych, w razie potrzeby skojarzenia się rodów, starano się małoletnich potomków, w kołysce niemal czasem, skrępować takimi formalnościami, aby im po dojściu do lat prawie niemożebnem uczynić tych więzów rozerwanie. Zaślubiny Hedwigi z Wichalmem odbyły się według wszelkich obrzędowych i prawnych przepisów, wesele [było] huczne i wspaniałe, a chociaż ze względu na wiek oblubieńców było to tak zwane kanonicznie *sponsalia de futuro* — małżeństwo przyszłości — traktowano je zupełnie seryo i zapieczętowano sprawę zobowiązaniem aż do czasu, przyrzekając oddać żonę mężowi, gdy tylko skończy lat dwanaście. A tymczasem rodzice państwa młodych pomieniali się z sobą na dzieci: Wichalm, wówczas przypuszczalny król węgierski, zabranym został przez teścia na odpowiednie wychowanie do Budy, Hedwiga zaś zamieszkała u swiekry w Wiedniu, aby w pierwszej wówczas stolicy europejskiej otrzymać godne jej stanowiska wykształcenie; już bowiem naówczas na Zachodzie rozprzestrzenione humanistyczne pojęcia wymagały od przyszłych monarchiń czegoś więcej, niż zawiadywania porządkami swego dworu i wyszywania złotych lam perłami. Hedwiga więc ćwiczyła się w językach i talentach, w literaturze, teologii i polityce, nabierała ogólnej kultury i wykwiłtnej dworskości, a postęp jej w naukach musiał być niepośledni, skoro w późniejszym czasie łacinę dobrze znała i wymownie roztrząsała teologiczne kwestje.

Pomimo oddalenia młodociana para widywała się z sobą czasami, bo Wichalma przywożono do Wiednia, aby odwiedził rodziców i małżonkę. Dzieci lubiły się i przestawały z sobą chętnie, ale zapewne nie mogły zabawić się w lalki lub w koniki, bo ceremonial-

dworu wiedeńskiego był bardzo ścisły i biedne dzieciaki, wytresowane doskonale, musiały naśladować krygi i dygi dorosłych, zachowywać się pompatycznie i etykietalnie. A miłość naturalnie w grę jeszcze wchodzić nie mogła, tem bardziej, że małżonek miał wygląd wąty, drobny, który nie zapowiadał wczesnego wyjścia z dzieciństwa.

Tak upłynęło lat kilka; królowa rosła, rozkwitała i już bliską była owej umówionej trzynastej wiosny, gdy wtem nieoczekiwana śmierć króla Ludwika rozpoczęła szereg powikłań w polityce i w związanych z nią losach dziewczęcia. Ludwik na zjeździe Koszyckim, zapewniwszy sobie u szlachty polskiej następstwo po nim jednej z córek, przeznaczał tron polski starszej, Maryi, wydanej za cesarzewicza Zygmunta Brandeburskiego. Ten więc po śmierci teścia wyruszył do Polski, ale wpadł tam w gorący war stronnicych waśni, które krajem wicherzyły. Jedni go chcieli, drudzy go nie chcieli, silna partya prowadziła Zygmunta Mazowieckiego, jako odrośl Piastową, niemiecki pretendent mało miał sympatyj, a nie umiał się jeszcze posługiwać późniejszą swą dyplomacją, gdyż był to naówczas młodzieńczyk czternastoletni. Po długich rozterkach królowa Elżbieta, wdowa po Ludwiku, która rozrządzała losem młodziutkich córek, cofnęła kandydaturę Maryi, proponując młodszą córkę, Jadwigę. Zgodzono się na to pod warunkiem, że królowa natychmiast do Krakowa na stałą rezydencję przyjedzie. Ale królowa zwlekała i dyplomatyowała, bo tu ją naciskał książę Leopold, domagając się dokonania haimburskich przyrzeczeń, tam znów na drodze do Krakowa zagrażał książę Ziemowit, zamierzający porwać królowę i przemocą ją poślubić, a w dodatku poczynały się już litewskie pertraktacje, przedstawiające najpoważniejsze korzyści. Zniecierpliwieni oczekiwaniem Polacy zagrozili nakoniec zerwaniem koszyckiej umowy, wskutek czego królowa-matka wysłała nakoniec Jadwigę do Krakowa. W sam dzień jej patronki, 15-go Października 1384-go roku, w katedrze Wawelskiej odbyła się z wielkim przepychem uroczystość, równie dziwna jak wspaniała: naród hardy i wojowniczy w pierw zżymający się niechętnie na niewieście panowanie, a później z zapalem wjeżdżającą cudną pannę witający, ugiął twardego karku pod dłoń od kądzieli — berło Bolesławów i Kazimierzów ujęła trzynastoletnia dziewczeczka, uroczyste namaszczone *na króla*.

Tego tylko oczekiwała polityka austriacka, tak zawsze umiejętnie koronne posagi zdobywająca — i książę Leopold wyprawił syna do Polski. Ale Wilhelm znalazł niechętnie przyjęcie. Polscy panowie wystąpili z jawną przeciwnością niemieckiemu żywiołowi opozycją, niedopuszczono wjazdu na zamek i zamieszkania z królową poślubionego jej oblubieńca, który stanął gospodą w mieście, chętnie podejmowany przez sprzyjające mu gorąco bogate mieszczanstwo niemieckie miasta Krakowa.

Jadwiga, jak się zdaje, nie domagała się wpuszczenia Wilhelma na zamek, tylko naznaczyła mu spotkanie w gościnnym franciszkańskim klasztorze, którego wielki refektarz mógł snadnie oba liczne orszaki pomieścić. Otoczona świetnym dworem, w blasku młodo-

ści, urody i majestatu, udała się królowa na biesiadę do długiej auli sklepionej o barwnych okiennych ostrołukach—i tam na mrocznym tle jakiejś dalekiej arkady ujrzała postępującego ku sobie smukłego, strojnego młodzieńca, z którym po raz ostatni widziała się jeszcze jako mała dziewczynka z niedorośłym chłopaczkiem.

Od tej chwili dopiero rozpoczyna się serdeczny dramat królowej Jadwigi. Dotąd jeszcze, chociaż pierścieniem związana, ale dziecinnym sercem wolna, odnosiła się dość biernie do wahających się rozrządzeń macierzyńskich. Uważała się wprawdzie za małżonkę Wilhelma i chciała mu wierności dotrzymać; nie mogła jednak nie wiedzieć, że w razie poważnej potrzeby idealny jej związek mógł być rozwiązany. Pomimo to, zdaje się, że nie zbyt się jej spieszyło do stanowczej konkluzji; chciała zapewne użyć trochę panińskiej swobody i nie obstawała za natychmiastowem sprowadzeniem księcia na Wawel, lecz wesoło wybrała się na miłą z nim zabawę w obecności licznych świadków. Biesiada była huczna i suta, bawiono się tak, jak to się w owe czasy bawić umiano; królewska paniątka otrząsnęła się na chwilę z majestatu, aby stać się rzeźwem dziewczęciem. A gdy wśród ochoczego podniecenia i młodzieńczych radości odurzeń pochylał się ku niej z wyszukaną dworskością chłopak zręczny, najwykwintniejszym ówczesnym polorem świetniejący, dziecinnymi wspomnieniami blizki, dziewczęmi marzeniami upragniony, wtedy stało się, co się nie mogło nie stać, rozkochała się królowa w królewiczu. Co oni tam z sobą szeptali w której z głębokich wnęk okiennych, o tem milczą gotyckie aniolki na barwnych szybach malowane, ale odtąd widocznem się stało postanowienie królowej, że żadne polityczne względy nie skłonią jej do złamania ślubnej obrączki.

Po pierwszej biesiadzie nastąpił długi ich szereg w gościnnym, a hojnie obdarzanym klasztorze; królowa używała ochoczo kwiatów swojej wiosny, bawiła się i kochała, żyjąc w śnie czarodziejskim po za realnością życia; ale po za jej snem kipiało życie realne starcami stronnictwami, ważyły się losy nie dwojga kochanków, lecz dwóch ludów i coraz wyraźniej wynurzała się z chaosu bezwzględna tyranka serc—racya stanu.

Ostatecznie patryotyczna partya litewska przemogła siłą znacznej większości niepopularną partyę austryacką i pewnego poranku, gdy królowa po słodko prześnionej nocy ze swych komnat wyszedłszy, w zwykłym swym orszaku dążyła ku zamkowej bramie, za którą czekała ją codzienna uciecha z ukochanym, nagle obstarpił ją radni panowie—i senat począł przekładać swemu monarsze, że związek Polski z Litwą jest polityczną koniecznością, że Kościół łaknie dusz a naród sojuszników—i że swatowie księcia Jagielly czekają na odpowiedź królowej Jadwigi.

Odpowiedź tę podaje pewna stara kronika jednym silnym rysem, zaznaczającym energię Jadwigi i gwałtowność jej uczucia: gdy nie chcąc słyszeć o niczem, podbiegła ku bramie i wstrząsnęła zawory, zastaje je zapartemi. Wtedy w majestacie swym obrażona monarszą ręką topór pochwyliła — i poczęła rąbać

podwoje... A wówczas przypadł Dymitr z Goraja,—najsędziwszy i najczcigodniejszy z dygnitarzy—i na kolana się rzucił przed królem-dziewczyną i mówił słowa ciężkie a twarde, jak obowiązek i poświęcenie, a gdy skończył, dziewczyna rzuciła topór i król powrócił na zamek.

Nie było to jeszcze stanowcze zwycięztwo Jadwigi nad swem sercem, lecz pierwszy popęd w tym kierunku. Nastąpiły czarne dni ciężkich burz wewnętrznych, straszne dni wahań się, walk i miotań; aż z duchowego rozdarcia wyłoniło się nakoniec całkowicie najsmutniejsze i najszczytniejsze psychiczne widowisko: własna wola depeczęca szczęście własne.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Marya Łopuszańska.

## OBRAZY

### Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



(Dokończenie).

Masannasa na to odrzekł:

— Wówczas nie mogłem cię porwać, nie byłem dość potężny, by stawić czoło naraz Syfaxowi i Hasdrubalowi; lecz to, co się nie stało wczora, stało się dziś — czy to nie wszystko jedno?

— O nie, nie jedno! Dziś niepodobne jest do dnia wczorajszego, nowe słońce, które nad nami wstaje, widzi nas nowymi ludźmi, i nigdy już nie wróci to, co minęło...

— Wszak mówiłem, czary odmieniły twoje serce,— rzekł Masannasa ponuro.

— O, Masannaso, czy nie rozumiesz tego, że nie ja, lecz tyś się odmienił? że tam, w domu ojca mego, w Kartaginie, kochałam innego Masannasę,—tego, który był prawdziwym lwem, królem pustyni, a nie poddanym Rzymu? Wczoraj byłeś wygnany z posiadłości, ale wolny jak wiatr, dumny jak lew, a dziś, kto ty jesteś? Dziś, o Masannaso, zyskałeś we mnie jedną więcej niewolnicę, którą przemocą możesz wieść do łoża swego, ale kochankę bezpowrotnie straciłeś!...

— O Sofonibe, gdy ty staniesz u mego boku, nie jako niewolnica, lecz jako umiłowana małżonka, obaczysz, że będę na nowo potężnym lwem pustyni, że zrzucę z siebie jarzmo rzymskie! Bądź tylko moją—miłuj mię, spojrzysz na mnie choć raz tak jak dawniej!...

Tarzał się u jej stóp zrozpaczony, bo w miarę, jak okazywała mu opór, stawała się coraz więcej ukochaną i pożądaną. Bezwiednie odczuwał, że oprócz piękności, było w niej coś jeszcze, czego zdobyć, ani posiadać nie mógł; pierwszy raz barbarzyńca korzył się przed potęgą duchową, i jak zwierzę pod wzrokiem poskromiciela, wił się bezsilny u jej nóg, nie zdając sobie sprawy, dlaczego cierpi...

Sofonibe patrzyła nań teraz bez poprzedniego chłodu i dumy, na obliczu jej odmalał się smutek, po chwili rzekła cicho:

— Nie wszystko od woli naszej zależne, Masannaso. Bogowie kierują sercami i zmieniają je wedle upodobania... kwiat rozkwitły trzeba zrywać prędko, inaczej zwiędnie on nazajutrz i zamieni się w suchą łądygę... Czy widziałeś na morzu owe jaskółki, które lecą tu do nas z dalekich, dalekich stron, by ukryć się przed chłodem? Bywają tak nieraz znużone, że nie obawiają się wcale ludzi i siadają na masztach okrętowych... Dusza moja tak samo jest znużoną i pragnie spoczynku... zdaje mi się, że najpiękniejszym darem, jaki bogowie mogą zesłać człowiekowi, jest sen, zapomnienie, spoczynek, z którego nie nas już nie wyrwie...

— O zbudź się, ożyj na nowo! Patrz — wszystko dokoła nas dyszy szczęściem! Noc wonna i ciepła roztacza już swój płaszcz srebrzysty nad drgającą z rozkoszy ziemią. Astarte na srebrnym wozie przejeżdża się po niebie i leje na ziemię czarodziejski napój miłosny, który wszystkie twory rzuca we wzajemne objęcia...

— Nigdy nie wielbiłam Astarty i nie poddawałam się jej szałom... Słyszałam od niewolnicy Greczynki, że w jej kraju czczą Astartę jako boginię bladego księżyca, czystą i dziewiczą — takiemu bóstwu pragnęłabym wystawić świątynię w naszym mieście i składać tam ofiary...

— Więc twoje serce naprawdę wystygło, jeśli w noc tę nie bije głośno i potężnie! Czy nie czujesz owych dreszczów rozkoszy, które przenikają ziemię całą? O zbudź się, Sofonibe, zbudź się do szczęścia, do miłości!

Sofonibe przymknęła oczy, jakby ulegając chwilowo czarowi tych słów, pałających żarem namiętności,—jednocześnie gdzieś z dala rozległy się przytłumione dźwięki instrumentów, a w ślad za nimi dała się słyszeć pieśń rozkoszna, dysząca upojeniem tej nocy afrykańskiej, pełnej namiętnych szmerów i westchnień... Była to pieśń weselna, którą śniade dziewczęta numidyjskie spiewały swojemu księciu i jego oblubienicy.

„Sypcie kwiaty, o dziewice, w dzbany lejcie wino najprzedniejsze... Oto kroczy tu oblubienica; pierś jej pod zasłoną kołysze się lekkim westchnieniem, oczy z pod rzęs jedwabnych błyszczą ogniem...”

„Kogożeś ujrzała zdala, że rumieniee wybiegł ci na lica? To oblubieniec przybywa, pan twój, który cię wprowadzi do domu swego, jako małżonkę...”

„Ciszej trąćcie struny, o dziewice, niech pieśń wasza płynie jako wianie łagodnego wietrzyka, aby nie zamąciła ciszy tej nocy miłości...”

Sofonibe wciąż siedziała z przymkniętymi oczyma, zasłuchana w namiętne, choć przytłumione dźwięki tej pieśni weselnej. We drzwiach tymczasem stanął zdyszany goniec z obozu Scypiona, który wzywał Masannasę, by przybył doń natychmiast. Jakies złowrogie przeczcucie ścisnęło serce księcia, gdy usłyszał wezwanie, lecz natychmiast rozkazał podać sobie konia i pożegnawszy spiesznie Sofonibę, popędził do rzymskiego obozu.

Scypio przybył właśnie, by połączyć się z wojskiem Leliusza, obozującym pod Cyrta; obaj wodzowie rzymscy w oczekiwaniu na Masannasę, zajęci byli żywą rozmową.



— Powiadam ci, Scypionie, że ta Kartagin-ka przedstawia większe niebezpieczeństwo dla Rzymu, niż całe wojsko jej ojca, Hasdrubala. Jest podobno o tyle piękna, jak mądra, przysiętem oddana jest duszą całą swej ojczyźnie; Massynissa pod jej wpływem może przerzucić się na stronę Kartaginy, a wówczas jesteśmy zgubieni...

Szlachetne i piękne rysy Scypiona powle-kiły się chmurą.

— Wszystko to słuszne, co wyrzekłeś, a jednak, czy nie czujesz tego, że Massynissa może słusznie zniechęcić Rzym, który z nim postępuje w sposób tak okrutny i niegodny?

— Ja wiem, że według ciebie lepiej uży-wać środków łagodniejszych, ale wierz mi, że tej dumnej Kartaginki nie kupimy niezem, i że Massynissa poślubiwszy ją, napewno wkrótceby nas odstąpił...

Zaledwie skończył mówić, gdy do namiotu wszedł Masannasa.

Powitał obu wodzów rzymskich i rzekł, pa-trząc na nich badawczo:

— Wezwaliście mnie tak nagle, że sądzę, iż coś ważnego zajść musiało...

— Nie mylisz się, Massynisso — rzekł Le-liusz, — chodzi tu o brankę rzymską, żonę Sy-faxa, która ma być wydana natychmiast w mo-je ręce...

— Sofonibe ma być wydana w twoje rę-ce? — wyrzekł Masannasa głosem zdławio-nym. — Wszakże ona jest moją zdobyczą...

— Mylisz się, zarówno Syfax, jak i Sofo-nibe są jeńcami Rzymu, mają w przyszłości ozdabiać tryumf zwyciężkich legionów rzym-skich, — odparł Leliusz zimno.

— A więc zabierzcie wszystkie skarby, któ-re zdobyłem w Cyrcie, lecz zostawcie mi So-fonibę, — rzekł Masannasa głosem spokojnym, chociaż wzrok jego zaczął błyskać groźnie.

— Niepodobna; senat by mnie potępił, gdy-bym się zgodził na podobny układ. Sofoni-be dziś jeszcze ma być wydana w moje ręce.

Z piersi Masannasy wydarło się chrapanie, zdawało się, że za chwilę rzuci się na Leliu-sza, aby go udusić... Pochyliwszy głowę, z pianą na ustach szedł ku niemu straszliwy i groźny, lecz Rzymianin patrzył nań zimny i spokojny, położywszy rękę na mieczu.

— Posłuchaj, Massynisso, jesteś w tej chwili w mojej mocy; na jeden znak z mej strony wejdą tu natychmiast moi legionieści i ze sprzymierzeńca Rzymu, staniesz się jego wię-źniem... Wiem, że ci ciężko wydać Sofonibę, ale pomyśl tylko, że jej nie ocalisz, a siebie zgubisz!... Zastanów się...

— Ha, bądź przeklęty! — zawołał Masanna-sa, i jak burza wypadł z namiotu.

Sofonibe jeszcze pozostawała w tej samej postawie, w jakiej zostawił ją Masannasa, cho-ciaż pieśń już dawno umilkła. Na niebie za-jśniał świt; wkrótce zorze ogniste zajrzały do okien pałacu, a zbudzone ptastwo poczęło świegotać wesoło. Nagle w drzwiach sali sta-nął czarny niewolnik nubijski, trzymający w rękę kryształową czarę. Przyklękawszy przed Sofonibą, rzekł:

— Pan mój, księżę Masannasa, pozdrawia cię i przysyła tę czarę, jako podarek ślubny...

Sofonibe spojrzawszy na twarz niewolnika, domyśliła się, co zawiera czara.

— Cóż mi grozi? — zapytała spokojnie.

— Rzymianie chcą, żebyś im została wy-dana...

— Rozumiem. Masannasa jest bezsilny, — rzekła Sofonibe z uśmiechem, w którym było więcej rezygnacji, niż smutku. — Podziękuj twemu panu, że mię ocalił od hańby zdobie-nia tryumfu Scypiona... Najpiękniejszy to po-darek ślubny, jaki mógłby mi ofiarować w dzi-siejszych czasach...

Niewolnik trzykroć uderzył czołem o zie-mię i oddalił się; Sofonibe zaś wzięła czarę, mówiąc:

— Pójdź, oswobodzicielko od hańby i nie-woli... O, bogowie, widzicie, że z czystym sercem schodzę do krainy śmierci; nie naprzy-krzam się wam z prośbami w tej chwili osta-tniej, bo niczego nie pragnę, jeno spoczynku i ciszy... To jest najwyższe dobro, jakiego dusza ludzka pożądać może...

Rzekłszy to, wychyliła czarę jednym tchem. W parę minut piękna i dumna córka Hasdru-bala zamieniła się w zimnego trupa. Tak ją zastał Leliusz, kiedy na czele oddziału legionis-tów wkroczył do pałacu Syfaksa, Scypio zaś, dowiedziawszy się o jej bohaterskim zgonie, rozkazał, by została pochowana ze czcią jej należną.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



Herman Heijermans.

## SZCZURKI.\*)

NOWELLA HOLENDERSKA.



Przepyszny dzień wiosenny. Bona zamyka za sobą drzwi wejściowe, na które pada złoty blask słońca. Krzewy na skwerze zielone, pączki otwierają się radośnie do światła, które zesuwa się z wolna po dachach sąsiednich domów. Opasły wróbelek zażywa błogiej drzemki, inne świegotem napełniają samotną ulicę.

Ela drepce koło bony, podskakując co kil-ka kroków. Nie umie, poprostu nie jest w sta-nie iść dzisiaj spokojnie i przyzwocie, jak jej nakazują. Gdyby nie obecność bony, spie-wałaby napewno na całe gardło! Bo też jest w bajecznym usposobieniu! Nóżki Eli okazu-ją zachwyty, kopiąc ziemię, podrywając pia-sek z energią, od której cienka, kozłowa skór-ka na bucikach trzeszczy i skrzypi niemilo-siennie. Tornister, huśtany silnie jej rączką, wywija kozły w powietrzu, krótkie spódnicz-ki fruwają figlarnie na wietrze, starannie u-gładzone poprzednio włoski, tańczą w niela-dzie, rozsypane na ramionach, ciemne oczy błyszczą uciechą w delikatnym owalu twa-rzyczki. Nie, nie może dziś w żaden sposób maszerować na równi z boną! Tłumi gwał-towną chęć gwizdania, która ją ogarnia, jak ulicznego łobuza. Troskliwie tuli do siebie blaszany koszyczek ze śniadaniem, to znów palcami bębni w jego ścianki, które wydają odgłos, przypominający stukanie ptaszęcych dziobków. Bona z pobłażliwym uśmiechem patrzy na te figle, nie daje dziecku żadnych

\*) „Szczurkami“ nazywają rodzaj słodkiego pieczywa holenderskiego, obdarza się niem malców w domu, w któ-rym dziecko na świat przybywa. (Przyp. tłóm.).

napomnień, a zwykle zrzędziła bez końca: „Elu, proszę iść przyzwocie na ulicy,“ „Elu, prosto się trzymaj,“ albo „Elu, któż to sły-szał chodzić z otwartą buzią.“ I tak ciągle.

Dzisiaj bona wyjątkowo nie marudzi, dziś jej samej nie brak humoru, — humoru, który by-wa tak świetnym wtedy tylko, gdy jedzie na urlop, lub znajduje się w obecności narzecz-o-nego.

Ela podskakuje w rytmie walca naprzód i coraz żarliwiej przyciska do siebie puszkę ze śniadaniem. Rzuca zapytania, powtórzo-ne przedtem z dziesięć razy.

— Paniusiu, paniusiu, o której godzinie „on“ przyjdzie?

— Tego nikt nie wie dokładnie, Elu.

— „On“ pewno podczas pauzy przyjdzie?

— Nie wiem. On nagle wlatuje przez ko-min, nie uprzedzając nikogo o swem przyby-ciu.

— I nie wtedy nie mówi?

— Może i co mówi...

— Jakby to było ślicznie, żeby mi przy-niósł siostrzyczkę. Nie chcę braciszka, chło-paki to zawsze nieponie, prawda, paniusiu?

— Ale gdzież tam, co też ty pleciesz, kocha-nie, pomyśl tylko, wystaw sobie takiego uro-czego, maluchnego braciszka, z którym bę-dziesz chodziła na spacer.

— Czy bocian nigdy nie uprzedza, kogo przyniesie?

— Nie, dziecko, to przecież niespodzianka.

Dziewczynka zamilkła na chwilę, wreszcie usteczkami, złożonemi w „ryjek,“ poczęła wy-dawać oderwane dźwięki. Przez pół ósma lat była jedynaczką u rodziców i babki — dopie-ro od niedawna zniesiono starą kolebkę ze strychu, świeżo odlakierowano na biało i w do-mu rozpoczęły się przygotowania na przyję-cie nowego przybysza: szycie i znaczenie pie-luszek, stopy miniaturowych ubrań, które nie-gdyś do Eli należały, i — od niedawna dowie-działa się o wielkiej nowinie, że zaorny bocian wybiera się do nich w odwiedziny.

Koszyk pełen bielizny i różnych drobiaz-gów oczekiwał gościa — i dziś rano Ela powę-drowała do szkoły, nie ucałowawszy matki, jak zwykle, „na dzień dobry.“ — „Jak tylko dzie-ciątko do nas przybędzie, poszlemy po ciebie natychmiast paniusię do szkoły i przyjdiesz zobaczyć bobo przez szparkę we drzwiach“ — mówiła babcia do Eli, wstrzymując łzy. Ta myśl zaprzętnęła jej główkę całkowicie, te słowa tkwiły jej bezustannie w uszach, nie dawały jej spokoju; lśniły one w słonecznych promykach, co kładły jasne blaski jej na głów-kę, ćwierkały je trznadłe na dachu.

W szkolnej sali słońce rzuciło świetlane kręgi przez białe franki, na biało wytykno-wane ściany, poobwieszane licznymi mapami. Znac było nieobecność nauczycielki, gdyż pa-nował tu nieopisanym gwar wesołych, dziecię-czych głosów. Tłuściutka Kora, przyjaciółka Eli, zatkawszy sobie uszy palcami, powtarza-ła na głos rachunki, zadane jej do domu za karę, iż podczas lekcji, za plecami nauczy-cielki, rozdawała cukier owsiany towarzyszk-om. Ania, Tosia, Marylka, Minia i wstrętna mała Peters, co stale paznogcie obgryzała i nie-raz zjawiała się w klasie z brudną szyją — widać nie myła się w domu — cisnęły się zwartym kłębkim do okna i szczebiotały wszystkie jednocześnie. Janka, córka rzeźni-ka, od której wszystkie stroniły, bo była pod-chlebna a fałszywa, za plecami nauczycielki szczypała sąsiadki — ona jedna siedziała samo-tna i wyławiała zgęszczone kluski z atramentu.

— Jak się masz, Koruniu, dzień dobry ko-chanie! — mówi Ela, kładąc tornister na pul-picie.

Kora nie chce, by jej przeszkadzano, zada-nia nie wypadają, więc gniewnie zatyka uszy na nowo.

— Chcę ci coś ciekawego powiedzieć — na-chyła się Ela do niej poufnie.

— Ach, dajże mi pokój! — burknie Kora

opryskliwie, — pewno chcesz, żeby mi ta idiotka znów bazgranie zadała!

Z zawieszoną minką układa Ela wyjęte z tornistra: książki, piórniki, linie, gąbeczkę i ceratkę do ochrony kałamarza.

Powoli zmierza do grupy pod oknem, przyciem z podelba, niechętnym okiem mierzy małą Peters, która w obecnej chwili ssie palec.

— Dzień dobry, Aniu, dzień dobry, Mini, jak się macie — małą Peters umyślnie pomiąja — co porabiacie?

— Wiesz, ona ma chleb wieprzowym smalcem posmarowany, pfe, jabym tego do ust nie wzięła — otrząsa się Ania i marszczy nossek z pogardą, prawdziwy nossek mopsika.

— Nie mówiłabyś tak, gdybyś go sama miała! — przerywa jej Marylka, właścicielka smalcu, która umyślnie trzymała puszkę otwartą, by się pochwalić przed innymi rzadkim według swych pojęć przysmakiem.

— Wczoraj był u was kisły żur — tego paskudztwa u nas w domu nie jadają; tata twierdzi, że taki żur robi się z samych resztek, które każdy wyrzuca.

— Zamień ze mną kromkę, — łasi się Tosia i łakomie zerka na smalec. — Dobrze? Ja mam łupiny suszone z jabłek.

— Łupiny, łupiny! — wydziwia się Ania. — Gdyby mnie mama miała łupiny dawać, podziękowałabym za wszystko.

— Ty do wszystkiego musisz się przycepić, nieznośna! — odrzeczła Tosia urażona. — Tego nie chcesz, tamto ci się nie podoba, a wczoraj to sama przyniosłaś tartą skórę z sera, którą moja mama wyrzuca, — a widzisz!

— Dopiero to, patrzcie państwo — na razie Ania nie wiedziała czem się odciąć. — A to czemu tak chciwie wytrzeszczałaś oczy na mój ser, co?

— Zdaje ci się, bąku jeden, wcale oczu nie wytrzeszczałam, miałabym też na co, ha, ha!...

— Wiecie, co ja mam. — Minia tajemniczo uchyla wieko puszek, zgadnijcie proszę... nie zgadłybyście: ja mam piernik lukrowany, o, i chleb z jajkiem! Toby ci, Aniu, smakowało, prawda?

Z uśmiechem na ustach i uszczęśliwieniem, malującym się w oczach, stała Ela dotąd milcząca. Teraz szeptem poufnym oznajmiła towarzyszkom:

— Nie domyślacie się nawet, co w moim koszyczku przyniosłam. Szczurki!

— Szczurki! E! Nie może być! — zawołała Ania. — Czy dostałaś braciszka lub siostrzyczkę?

— Jeszcze nie, ale dostanę niedługo. Bocian już czeka w kominie, i jak tylko mi co przyniesie, przyszlą po mnie bonę, pójdę do domu i będę miała pół dnia swobody.

— Żeby się też u nas coś podobnego zdarzyć chciało! — westchnęła Minia z komiczną szczerością.

— Nie wierzę w żadne bociany! — zawyrokowała Ania. — To brednie. Ot gadają sobie i tyle.

Wejście nauczycielki przerwało te gawędy. Janka, córka rzeźnika, dostała burę za kleksy, które przystroiła brzeg kałamarza, Kora musiała swoje zadanie pokazać: szeregi cyfr, a raczej pisanych zygzaków, chylących się w różnych kierunkach na papierze.

Bogiem a prawdą, niemiła to osobistość z tej nauczycielki. Nic nie uszło jej uwagi, wszystkiego musiała dopatrzeć, daremne były wykręty; kłula wtedy tak przenikliwie wzrokiem winowajcę, iż prawda niechęć sama z ust mu płynęła.

— Już skubiecie przy waszych śniadaniach. Nie możecie doczekać się rekreacji. Elu, mama pewnoby cię zganiała za takie łakomstwo.

— Kiedy ja nie skubię, proszę pani.

— Owszem, Elu, skubałaś. Przed chwilą

grzebałaś w koszyczku, a teraz jeszcze przeżuwasz coś w buzi. Prawda?

— Tak, proszę pani.

— Czemu więc zaprzeczałaś? Wiesz, że nie znoszę nieprawdy?

— Wiem, proszę pani.

— Widać głodna jesteś biedaczko, kiedy nie możesz zaczekać, aż będzie pora właściwa na śniadanie.

— Ja tylko parę szczurków zjadłam.

— Szczurków? — spytała nauczycielka łaskawym tonem i roześmiała się z zafrasowanej miny dziecka. — U was coś małego przybyło?

Cała klasa, która tymczasem powoli się zapełniła, słuchała z przejęciem powyższej rozmowy.

— Tak, proszę pani, bocian do nas przyfrunął, — odrzekła Ela z dumą.

Starsze dziewczynki zachichotały: nie wierzyły już one w legendę o bocianie; wyśmiały się też one z Eli, że z dobrą wiarą i przekonaniem powtarzała baśnie, zdadne dla smarkaczów.

— Sst! Nie macie się z czego śmiać. Wyszujemy ci Elu. A pamiętaj, teraz zwłaszcza, być zawsze grzeczną i dzielnie się opiekować małą siostrzyczką. — Wszak to siostrzyczka?

— Nie wiem jeszcze, proszę pani. Babcia prosiła, by mi pozwolono wrócić do domu, jak tylko bona po mnie przyjdzie z wiadomością. Czy będę mogła?

Nauczycielka skinęła głową.

— Owszem, moje dziecko, ale za to, proszę teraz podwójnie uważać i koleżankom nie przeszkadzać. Dzieci, zaczynamy.

Ela siadła w sąsiedztwie grubej Kory i zamysłona, nieobecna duchem, błędziła sennym wzrokiem po tablicy, na której nauczycielka pisała kredą.

Wyteęzała myśli, by skupić uwagę, lecz ile razy na dole zadzwieczał dzwonek i donośnym echem przerywał milczącą ciszę sieni, nóżki jej poczynaly drzeć ze wzruszenia i uwaga rozpraszala się na nowo; cała klasa spoglądała z oczekiwaniem na szklane drzwi wejściowe, czy to już przychodzą po Elę, tę sympatyczną istotkę, która była ulubienicą wszystkich. Trzy razy dzwoniło, trzy razy spotykał ją zawód.

Wreszcie, około jedenastej, podczas lekcji robót, których udzielała zastępczyni poprzedniej nauczycielki, zadzwieczał dzwonek ponownie i przełożona weszła osobiście do klasy i szepnęła kilka słów nauczycielce robót, na które ta ostatnia szybko zerwała się z miejsca.

— Elu...

— Słucham, proszę pani. Zarumieniona, z błyszczącymi oczami, wysunęła się już z ławki.

— Eluniu, przyszli po ciebie, możesz iść do domu.

— Dziękuję. Do widzenia, Koruniu, Bywajcie zdrowe. Do widzenia.

Spiesznie spakowała swój tornister i koszyczek.

Na dole czekała bona z zapuchłymi od płaczu oczami, ledwo mogąca mówić.

— Siostrzyczka, paniusiu?... — wołała Ela ze schodów.

— Nie.

— A więc braciszek?... — nerwowo się zaśmiała.

— Nie.

— Nie siostrzyczka, nie braciszek... a więc co? A... może bocian wcale u nas nie był?...

— Nie pytaj tak wiele. Dowiesz się, jak wrócimy do domu, już ci babcia... łkanie przerwało jej mowę.

Ela, nic nie rozumiejąc, musująca jeszcze rozochoceniem, biegła tak szybko, iż bona ledwo mogła za nią nadążyć. Złote jej włosy lśniły w słońcu, nóżki galopowały po ubitym żwirze, aż „szczurki“ dudniły i taczały się we wnętrzu puszek. Bez tchu prawie przy-

była do domu. Zastała stopy w całym mieszkaniu pozapuszczane, — ojca i babkę łkających w ciemnym pokoju.

W dwa tygodnie później ukazała się w szkole, w żałobnej sukience i opowiadała koleżankom:

— Bocian mamę zabrał.

Tłóm. Wanda Ejchlerówna.



## Kronika działalności kobiecej.



— Ochrona kobiet.

W Sobotę, o godz. 8-jej wieczorem, w sali balowej hotelu Europejskiego, odbyło się ogólne zebranie członków rzeczywistych Chrześcijańskiego Towarzystwa ochrony kobiet, przy udziale 38-iu obecnych.

W nieobecności prezesa, p. Madaliński otworzył Zebranie jako prawomocne, odbyte w drugim terminie. Na przewodniczącego obrano ks. Niewiarowski, który ze swej strony zaprosił na asesora p. Konopczyńską i panów: Kijeńskiego i Ferencowicza.

P. Madaliński przedstawił wniosek wprowadzenia puszek w pośród członków i rozlepiania afiszów na dworcach kolei żelaznych. Wniosek jednomyślnie przyjęto.

W dalszym ciągu przemawiali: p. Helena Kuczalska, pp. Ferencowicz, Kijeński i Geizler.

Po przedyskutowaniu kwestyi, najżywiej Towarzystwo obchodzących i po zatwierdzeniu budżetu na rok bieżący, przystąpiono do wyborów, które dały wynik następujący:

Do zarządu weszli: p. Konopczyńska (38 gł.), pp.: Radziszewski (38 gł.), Kijeński (37), Geizler (37), dr. Zawadzki (36), Ferencowicz (29).

Na zastępcę wybrano: p. Przanowski; do Komisji Rewizyjnej powołano adwokatów przysięgłych: Grabowskiego, Waydla i Błaskowskiego.

— Wiedeń. Pod wrażeniem uroczystości, święconych na cześć Schillera, odbyło się trzecie z rzędu zebranie Związku kobiecych stowarzyszeń austriackich. Zebranie odbyło się w przepysnej sali balowej nowo zbudowanego gmachu wiedeńskiego kupiectwa i zanim przeszło do porządku dziennego, gorącą mową uczciło wielkiego poetę. Dwadzieścia sześć stowarzyszeń wysłało swoje przedstawicielki, w celu obradowania nad najważniejszymi kwestyami emancypacyjno-społecznymi ruchu kobiecego. Z Węgier przybyły trzy przedstawicielki: panna Augusta Rosenberg w imieniu stowarzyszeń kobiet pracujących, pani Rosika Schwimmer w imieniu związku feministek i panna Janka Grossman w im. Stowarzyszenia kobiet, pracujących na wsi i gospodyń wiejskich. Z Berlina, między innymi, przybyła pani Prölsz, jako przedstawicielka stowarzyszenia: „Wykształcenie i studium,“ z przejęciem broniąca powierzonej jej sprawy, jedna z wybitnych pionerek swobody i postępu.

— Austriackie kobiety nie na żarty wzięły się do dzieła. Liga pokoju z Bertą, baronową Suttner na czele, — Związek przeciwko holiczny z doktorem Eugenią Schwarzwald, — Stowarzyszenie robotnic w przemyśle — z Antonią Graf, — Stowarzyszenie prassy — z Maryą Lang, — szkolne — z Eleonorą Jeilels i Związek prawniczy — z Maryą Spitzer, opracowały bardzo wyczerpujące elaboraty, które ogólne uzyskały uznanie.

W dalszym ciągu narad rozpatrywano tak ważne sprawy, jak: opiekę nad opuszczonymi dziećmi (referat panny Herzfelder); szkoły dla dziewcząt (referat pani Maryi Schwarz) zaginioną swobodę w przemyśle (referat p. Antonii Graf); zabezpieczenie starości sług (referat p. Antonii Graf);

rat pani Niebauer); wreszcie od dawna w Austrii podnoszoną sprawę bytu nauczycielek prywatnych (referat pań Wiechowskiej i Lenkowej).

Na prezesa Związku stowarzyszeń, na dalszą kadencję, wybrano panią Maryannę Hainisch, dzielną i zasłużoną wojowniczkę na polu walki o prawa kobiety.

— Szwajcarya. Stanowisko pierwszego asystenta profesora Straussa, przy klinice uniwersyteckiej w Dreźnie, objęła panna Zofia Getzow, doktor medycyny Zurychskiego Uniwersytetu.

— Stany Zjednoczone. W Stanie Illinois, kosztem składek ogólnych ma być postawiony pomnik Maryi Bickerdyke, sławnej za bohaterkie niesienie pomocy rannym podczas wojny amerykańskiej i znanej pod nazwą „matki Bickerdyke.“ Projekt do pomnika, który ma uwiecznić czyny bohaterki jest dziełem także kobiety, rzeźbiarki Theo Ruggles-Kitson. Odtwarza on, podobno z niesłychaną siłą Maryę Bickerdyke, podtrzymującą jedną ręką rannego na polu walki, drugą — podającą mu napój do picia. Grupa ma zostać odlana w brzoźnie i umieszczona na gładkim granitowym postumencie, na którym wyryte zostaną słowa: „Marya Bickerdyke—Matka.“

W zeszłym miesiącu odbyło się w wielkiej hali pomnikowej Kapitolu w Washingtonie uroczyste odsłonięcie pomnika założycielki pierwszego kobiecego stowarzyszenia w Ameryce „Womans Christian Temperence Union,“ Franciszki E. Willard. Pomnik ten jest również dziełem kobiety, artystki - rzeźbiarki, miss Heleny Tarnsworth Mears z Oshkosh. Nieco większa niż naturalnej wielkości postać z karyjskiego marmuru przedstawia Franciszkę Willard w chwili przemówienia do zgromadzonych.

Z. S.

## Kroniczka.

— Na posiedzeniu Sekcji rzemieślniczej mecenas Adolf Suligowski zcharakteryzował obraz stanu szkolnictwa początkowego w naszym kraju. Z punktu widzenia przebiegu historycznego uważamy nie rozwój stopniowy oświaty w stosunku do wzrostu ludności, lecz raczej wsteczność i zacofanie. Za czasów istnienia Komisji Edukacyjnej i Księstwa Warszawskiego widzimy dążenia ku lepszemu, później zaś, około r. 1862-go, przy chwilowej próbie samorządu Warszawy, i dalej od zniesienia w r. 1872-im podatku szkolnego, aż do zakazu nauczania elementarnego prywatnego, zniesienia szkółek w Towarzystwie Dobroczynności, Warszawa upadła tak nisko, że niema *w całym świecie* drugiego miasta, gdzieby ciemnota i analfabetyzm dosięgły podobnego rozwoju. W istniejących szkołach pomieszczenie i naukę odbiera może 18 tysięcy dzieci, gdy liczba ogólna dzieci w wieku szkolnym wynosi 96 tysięcy, po odtrąceniu 1/6 części dzieci zamożnych rodziców, pozostaje jeszcze 48 tysięcy, które zgoła z oświaty nie korzystają.

Szkoły te, jakie istnieją, są wadliwe, a pomieszczeń z uwzględnieniem higieny i pedagogiki niema wcale. Pierwszy gmach na szkołę poczęto budować w roku zeszłym. Wprowadzenie nauki elementarnej w języku ojczystym, swoboda nauczania prywatnego i samorząd miasta, oto są upragnione cele, ku którym dążyć winniśmy, aby setki i tysiące dzieci wyrwać z gniejącej ciemnoty i potęgi zła, utorować im drogę ku światłu, uszlachetnić ich dusze przez rozwój pojęć i udoskonalenie instynktów.

— Kolo architektów ogłosiło konkurs Towarzystwa ceramicznego pod firmą Dziewulski i Lange na projekty wzorów do płyt terrakotowych. Obecnie w sali Resursy Obywatelskiej urządzono bezpłatną wystawę prac konkursowych, nadesłanych w liczbie 306-iu. Wystawa trwać będzie dni 10. Nagrodzono prac 6, zalecono do zakupu 3, wyróżniono zaszczytnym uznaniem 20. W liczbie prac zakupionych przez Towarzystwo, dwie są dziełem młodych rysowniczek.

Autorką projektu pod godłem „Acer,“ jest p. Zofia Plebińska, drugiego, pod godłem „Gopło,“ p. Helena Zakrzewska, obie uczennice Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Pomiedzy nagrodzonymi jest projekt p. Stanisławy Jopkiewiczówny. Po raz pierwszy na polu sztuki zastosowanej do przemysłu i architektury zdobywają odznaczenie aż trzy Warszawianki na konkursie, rokując pomyślną przyszłość dla działalności kobiet w tym kierunku.

— Dnia 9-go b. m. wybuchnął pożar w Chęcinach, starożytnym mieście (w gub. Kieleckiej), który trwał dni kilka, strawił przeszło 200 domostw i zabudowań. Pięć tysięcy ludności zostało bez dachu i chleba. Organizują składową pomoc na rzecz pogorzalców.

— W Żytomierzu i miastach okolicznych rozpoczęły się zaburzenia anti-żydowskie i pogrom tychże, połączony z krwawymi ofiarami.

— W Tyflisie bezrobocie służby domowej: kucharzy, kucharek, lokajów i t. p., trwało dni 12. Liczba strajkujących dochodziła 5 tysięcy. Restauracje, kluby i część hoteli pozamykano.

— D-r Jan Piltz został mianowany profesorem nowej katedry psychiatrii i chorób nerwowych na wydziale lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po chlubnej praktyce w klinikach zegranych, d-r Piltz osiadł w Warszawie i praktykował jako stały ordynator oddziału chorób nerwowych w szpitalu na Pradze. W czasach, gdy choroby nerwowe tak ustawicznie się szerzą i tak różnolite przyjmują objawy, pożądanem jest bardzo zajęcie się specjalnie tą gałęzią w medycynie i wynalezienie nowych środków i ulg dla cierpiącej ludzkości.

— Członkowie krakowskiej Akademii Umiejętności wybrali z pośród siebie komitet w celu urządzenia godnego obchodu 400-nej rocznicy urodzin Mikołaja Reja. Postanowiono urządzić w ciągu Grudnia r. b. zjazd o charakterze naukowym, historyczno-literackim i wyłącznie polskim. Na zjeździe obok badań dziejów XVI-go wieku, będzie na obradach rozpatrywana sprawa ujednostajnienia i ustalenia pisowni polskiej i polskiej encyklopedji naukowej. Oplata za uczestnictwo w zjeździe wynosić będzie 10 koron od osoby. Zapisy nadsyłać należy na ręce sekretarza komitetu d-ra Wiktora Czerbaka, który też udziela bliższych wyjaśnień.

— Rada miasta Krakowa oddała teatr pod kierownictwo i reżyserję Ludwikowi Solskiemu na przeciąg lat sześciu. Wszyscy wróżą scenie rozkwit niepospolity. Wypiański cofną swą ofertę.

— Przed sąd ławniczy w Poznaniu powołano trzy kobiety Polki: Helenę Mizgalską, Wiktoryę Morawską i Maryę May, oskarżone przez policję pruską o złożenie w d. 12-ym Stycznia wieńców na trumnie ś. p. patrona Maksymiliana Jackowskiego. Sąd skazał je na 30 marek kary lub 10 dni więzienia. Oskarżone postanowiły w razie nie uchylecia tej kary odrzucić opłatę grzywny i pójść do więzienia.

— Firma H. Altenberg we Lwowie, podejmując wydawnictwo p. t. „Kultura polska,“ mające się ukazywać w formie niewielkich książek, ogłasza za pośrednictwem Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ konkurs drukarski artystyczny na przyozdobienie egzemplarza takiej książki. Konkurs składa się z dwóch części: I. Rysunku okładki zewnętrznej, II. Rysunek papieru okładkowego wewnętrznego. Nagroda za całość wynosi 300 koron. Termin nadsyłania prac pod adresem „Polska Sztuka Stosowana“ w Krakowie (ul. Wolska, 14) upływa z dniem 15-m Czerwca r. b.

— „Ognisko polskie“ w Pradze Czeskiej urządziło w d. 10-ym b. m. uroczystość ku uczczeniu prof. Vrchlickiego, poety i pisarza czeskiego. Vrchlicki zasłużył się literaturze jako tłumacz Mickiewicza i autor „Pana „Twardowskiego.“ Podczas obchodu w Domu Narodowym wręczono profesorowi dyplom członka honorowego „Ogniska.“

— W Rzymie odsłonięto w bieżącym miesiącu w willi Borghese pomnik Wiktora Hugo, dar ofiarowany miastu przez grono francuzkich mecenasów sztuki.

— Z powodu trzechsetnej rocznicy pierwszego wydania „Don Kichota z Manchy“ (1605), nieśmiertelnego arcydzieła Cervantesa (Miguel de Saavedra Cervantes ut. 1547 w Nowej Kastylji, słynny poeta hiszpański), urządzono w Madrycie trzydniowe uroczystości na cześć wielkiego pisarza. Odbył się pochód wozów allegorycznych, w którym wzięły udział inne miasta hiszpańskie, turniej z nagrodami, walka kwiatowa. Drugi dzień zajęły posiedzenia Akademii pod przewodnictwem króla, przyczem odczytana została mowa o Cervantesie, skreślona przez niedawno zmarłego poetę i męża stanu Juana de Valere, następnie król ogłosił dekret o rozpoczęciu składek na pom-

nik Cervantesa w Madrycie. Ubiegać się mogą tylko hiszpańscy i południowo-amerykańscy rzeźbiarze. Sąd konkursowy złożony będzie z innej narodowości. W końcu Akademii rozdała bezpłatnie 100,000 egzemplarzy „ostatniego“ wydania „Don Kichota.“ Koncert chóru złożonego z dwóch tysięcy osób zakończył dzień drugi. Trzeciego odbyło się ukoronowanie istniejącego już w Madrycie pomnika Cervantesa, oraz przedstawienie galowe, złożone ze scen z „Don Kichota.“ Z okazji tej uroczystości poczta hiszpańska wydała dwie marki pamiątkowe: 5 cent. zielona wyobraża Don Kichota ciągnącego w świat na wiernym „Rosyncanie,“ czerwona zaś, 10-centymowa, Don Kichota i giermka jego, Sancho-Pansę, atakujących wiatraki.

— Dnia 9-go b. m. zmarła w Warszawie ś. p. *Jadwiga z Kulwieców Korzonowa*, żona znakomitego historyka i uczonego.

— We Lwowie zmarł ś. p. *Adam Kuliczkowski*, pedagog i autor kilku prac naukowych, z których „Zarys dziejów literatury polskiej“ cieszył się uznaniem i powodzeniem.

— W dniu 7-ym b. m. zakończył życie ś. p. *Adryan Głębocki*, malarz i pedagog. Zasłynął, jako twórca obrazów religijnych i pracami swemi przyozdobił wiele kościołów w Królestwie; malował także obrazy na tle historycznym i rodzajowym. Po ukończeniu studiów w Warszawie i za granicą, był nauczycielem rysunków w Częstochowie, później w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych, w gimnazjum i szkole realnej w Warszawie. Umierając, wyraził życzenie, iżby wieńców nie składano na jego trumnie, lecz pieniądze te obrócono na korzyść Towarzystwa Opieki nad dziećmi więźniów (Zakład św. Anny, ulica Marszałkowska № 79).

— W Paryżu zmarła wice hrabina *Emilia Aguado*, która za czasów drugiego Cesarstwa była damą dworu cesarzowej Eugenii i pozostawała z nią w przyjaznych stosunkach.

## ODPOWIEDZI.

— Dla X. — Sonety umieścimy. „Sen zimowy“ do zwrotu. Prosimy o adres szczegółowy.

## Nadesłane nowości.

**Kazania passyjne**, wypowiedziane w kościele parafialnym w Płocku przez ks. P. Jabłońskiego, M. Św. Teologii. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni „Kroniki Rodzinnej.“

**Izabella Ryx**: «Teorya sztucznego legu.» Odbitka z „Dobrej Gospodyni.“ Warszawa, 1905.

**Konstancya Łozińska**: «Życie,» powieść. Warszawa, 1905. Jan Fiszer.

**Kazimierz Przerwa Tetmajer**: «Zatrącenie,» romans. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1905.

## Treść numeru:

Gasnące dzieci, przez Jadwigę Z. Strokową. — Na werandzie (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Joan VIII, 1—12, powieść, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — Tęsknota (wiersz), przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Praca u podstaw, przez Siekierz-Ciechińską. — Piórem i ołówkiem, przez Jana Ładę (ciąg dalszy). — Historia kobiety, studjum historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Obrazy z życia kobiet: przez Maryę Łopuszańską: Sofonibe (dokończenie). — Szczurki, nowella hollenderska Hermanna Heijermansa, tłum. Wanda Ejchlerówna. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Odpowiedzi. — Nadesłane nowości. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się artykuł W. Wojciechowskiego p. t. „Samodzielność ogrodnicza.“

**Dodatek**: Opis ubiorów i robót (rycin 29). — Przepisy kuchenne.

NA  
SEZON LETNI  
1905.

**Wetny** czarne (specjalność)  
lekke sezonowe  
bluzkowe.

**Jedwabie** czarne i kolorowe  
mieniące  
bluzkowe.

**Tow. bawełn.** Kretony, batysty, satyny  
Muśliny kraj. francuz. i szwajc.  
Płótna kostiumowe.

**Tow. białe** Perkale, madapolamy  
Płótna jarosławskie  
Bielizna stolowa.

**Hafty** krajowe i szwajcarskie.

**Przybrania** do sukien.

**BRACIA JABŁKOWSCY**  
WARSZAWA, BRACKA 23.  
polecają:

WYSYŁKA PRÓB NA PROWINCYE BEZPŁATNA.

BIURO NAUCZYCIELSKIE  
**GRETILLAT**  
Ś-to Krzyżka 15.  
Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospo-  
dynie, panny służące.

WYNAŁAZCY  
SUDORYNO POTU  
KAWIOL na ARTERIE  
AP. KOWALSKIEGO ODCISKI  
BRDANKI i SKÓRĘ ZGRUBIAŁA na PODESZWACH.  
KAWIOL-PRYN po 30 i 50K. NIESKUTECZNYCH, CZĘSTO I SZKODLI-  
STRZEŻ SIĘ SWYCH PREPARATÓW NIESPECYALISTÓW. ZADAC WSZĘDZIE.

PRACOWNIA SUKIEN i HAFTÓW  
**Z. BRZEZIŃSKIEJ**,  
znaczenie powiększona, została przenie-  
siona na ul. Kaliksta 3 róg Marszałkowsk.

MAGAZYN  
**UBIORÓW DZIECINNYCH**  
oraz Umundurowania dla Uczniów  
Poleca  
**S. PRZEZDZIECKI**  
5. Mazowiecka 5.

Księgarnia J. Fiszera, Nowy-Świat 9 w War-  
szawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reuss-  
era do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nau-  
ki Języków Obcych, bez nauczyciela z obja-  
śnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.

**SAMOUCZEK**  
Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Ele-  
mentarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs  
I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.  
Rosko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24,  
40 i 2.20.  
Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20;  
kurs II-gi rb. 3.20.  
Gramatyka Polsko-Francuska  
kop. 1.20.  
Wypisy Francuskie kop. 80.  
Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75;  
kurs II-gi kop. 1.20.  
Amerykański Przewodnik kop. 50 ma-  
ły 5.  
Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5,  
12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—  
kurs II-gi kop. 1.80.  
Nakład autora Złota 6, Warszawa.

BIURO NAUCZYCIELSKIE  
**JAHŁKOWSKIEJ**  
Warszawa, Marszałkowska 118  
poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

**KRYNICA**  
Od 16 Maja  
dom pod „Wawelem”  
na wzgórzu, naprzeciw łaźnienek; po-  
koje umeblowane z całodziennym  
utrzymaniem.  
**L. Żeleszkiewicz**  
i Kl. Kaczkowska.

Dla pań i panien przyjezd-  
nych pokoje w do-  
mu prywatnym, znanym, z całodziennym  
utrzymaniem lub bez, od 50 k.  
do 2.50 dziennie.  
Moniuszki 9—25.

Naczynia i przybory do kuchni  
MASZYNKI do lodów  
LODOWNIE pokojowe  
FILTRY  
ŁÓŻKA żelazne i umywalnie  
WANNY z piecykami. PRYSZNICE  
Pralnie „RAPID”  
WYŻYMACZKI „Empire”  
**KRZYSZTOF BRUN i SYN**  
w WARSZAWIE, Bielańska 2.



Najlepszy środek kosmetyczny

nadający cerze świeżość i czystość



Crème CAZIMI

**Metamorphosa**

przeciwko PIEGOM.

Dowodem autentyczności środka  
przeciw plegom jest podpis  
i dołączony do każdego słoika rysunek  
„ZRÓDŁO PIĘKNOŚCI.”  
Bez podpisu i rysunku zatwierdzonego przez De-  
part. Hadlu i Manuf. za Nr. 4683—  
**FALSYFIKAT.**

Do nabycia we wszystkich składach  
mater. aptecz., perfumer. i aptekach.

Magazyn Mód

**E. LOTH**

Krakow. Przedm. 9, m. 4.

Zaopatrzony w Modele  
z pierwszych domów pa-  
ryskich, kopje tychże, oraz  
wszelkie nowości w kwia-  
tach, piórach i wstążkach,  
poleca takowe po cenach  
nizkich, bo w mieszkaniu.

**Ciechocinek.**

Pensjonat „Zachęta 2-ga” na pias-  
kach blisko kościoła, łaźnienek, parku.  
Za pokój z pościelą i utrzymaniem:  
2 rb, 2.50, 3 rb., 3.50, największy 4 rb.  
dziennie. Zamawiać można do 15 ma-  
ja: Moniuszki 9, Helena Prawdzic-  
Kuczalska.

**Prasuje** bieliznę męską bez szkodli-  
wych dodatków.  
Warecka № 9 m. 8.

**Źródłem siły  
dla wszystkich osłabionych,**

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozba-  
wionych energii skutkiem przepracowania  
umysłowego lub fizycznego, jak również  
i dla tych, których choroby wyniszczające  
i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły  
odporności — jest

**SANATOGEN BAUERA**

zaszczycony świadectwami przeszło 2000  
lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem.  
Wystrzegać się bezwartościowych naśladowictw.  
Brozury na żądanie wysła bezpłatnie S. Karczewski,  
ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

**MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH**

otrzymał NOWOŚCI na sezon bieżący  
Angielskie, Francuskie i Krajowe  
z czem się poleca względem Sz. Publiczności  
oraz Szkoła Kroju i Szycia

Zawiadamia, że zapis uczni rozpoczął się z dniem 1 Maja r. b.  
Informacje i prospekty na żądanie gratis.

Pensjonat na miejscu.

**A. TRZESZCZKOWSKI**

w Warszawie, Aleja Jerozolimska № 21, róg Brackiej.

Wydawca: **Piotr Laskauer.**— Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Мая 1905 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

(Dok. opisów do Nr. 20).

## № 18. Sukienka muślinowa z haftem dla dziewczynki od 5—7 lat.

Sukienka biała na kolorowym spodzie, przybrana angielskim haftem. Góra sukienki przyzyszyta do meżkiego wyciętego karczka pokrytego marszczoną haftowaną falbanką. Dół sukienki zdobi haftowana falbana i dwie grupy zakładek. Buły rękawów z haftowanego materiału. Falbanę przy karczku zdobi otoczenie z kolorowej atlasowej wstążeczki 1 ctm. szer., zakończonej dwoma rozetkami i długimi końcami.

Potrzeba: indyjskiego muślinu 1 mtr., 2<sup>3</sup>/<sub>4</sub> mtr. atlasowej wstążeczki, 3 mtr. haftowanej falbany 20 cent. szerok. 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. 12 cent. szerok. 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. 3 cent. szerokiej.

## № 19. Sukienka reformowana i kapelusz dla dziewczynki od 8—10 lat. (Patrz ryc. 10).

Sukienka ryc. 19, z wełnianego niebieskiego materiału w kraty, zaszyta od dołu w trzy szerokie plisy, w górze ujęta w okrągły haftowany karczek. Przy karczku pelerynkowe przybranie w okrągłe zęby, z gładkiego niebieskiego materiału, ozdobione pliskami. Buły rękawów z materiału w kraty, mankiety wysokie z gładkiego, naszyte pliskami z guzikiem i koronkowymi mankietami.

Potrzeba: materiału w kratę 2 mtr., gładkiego 50 cent. podw. szer., 10 guzików.

## № 20. Praktyczny kostium spacerowy dla pani od 15—17 lat.

Kostium z szaro niebieskiego covert-coatu zdobny tylko stebnowaniem. Spódnica 7-u części bez podszewki z zastebnowanymi szwami, a w dole z wystebnowanymi patkami. Żakiet

luźny na podszewce z jedwabnej serge, kryto zapinany. Przody i plecy z dwóch części, wystebnowane na szwach; przody w rodzaju karczka ozdobione plisami w półokrągłe zęby. Kołnierz wykładany i wyłogi nałożone szaro niebieską materyą. Rękawy szerokie w górze, zastebnowane środkiem odpowiednio do żakietu, z mankiem wyłożonym albo odstebnowanym.

Potrzeba: Covert-coatu 5 mtr. podw. szerok. 20 cent. materyjki, 4 mtr. serge na podszewkę.

## № 21. Sukienka praktyczna dla pani od 12—14 lat.

Sukienka ryc. 21 z granatowego z zielonym w kratkę wełnianego materiału, przybrana granatowymi jedwabnymi pliskami. Staniczek bluzkowy z tyłu zapinany z karczkiem z przodu i z tyłu, nałożonym na wierzch i przedłużonym kontrafałdami do stanu. Karczek i kontrafałdy otacza jedwabna pliska, oraz zdobią naszyta ze sznureczka zakończone metalowymi guziczkami. Przód spódniczki gładki, boki i z tyłu zmarszczone 5 razy. Przód naszyty odpowiednio do bluzki, pętelki ze sznureczka z guziczkami. Pasek i krawacik z niebieskiej, jedwabnej wstążki. Rękawy bufiaste ujęte w wysokie mankiety naszyte pliskami.

Potrzeba: materiału 4<sup>1</sup>/<sub>4</sub> mtr. podw. szerok., 20 cent. niebieskiej materyjki, 20 guziczek, 2 mtr. sznureczka, 2<sup>3</sup>/<sub>4</sub> mtr. wstążki 12 cent. szerokiej.

## № 22. Jasna wełniana sukienka dla pani od 13—15 lat.

Sukienka z wełnianego piaskowego materiału. Kołnierz z wyłogami, pasek i mankiety z niebieskiego sukna, kamizelka z kołnierzykiem z białej koronki. Staniczek na podszewce, zaszyty z przodu w kontrafałdy ozdobione guziczkami, zapinany z tyłu pod kontrafałdą. Rękawy parę razy w górze zmarszczone z dwóch bufek

z wysokim mankiem. Spódniczka 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> metra szeroka ułożona w 7 kontrafałd zastebnowanych od góry na 35 ctm.

Potrzeba: materiału 5 mtr. podw. szer., 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. sukna, 60 cent. koronki 6 cent. szerok. 8 guzików.

## № 23. Jedwabna bluzka dla pani od 15—17 lat.

Bluzka z lekkiej, japońskiej materyjki, na podszewce z przodu zapinanej. Bluzkę z przodu i z tyłu jednakowo przybraną, składają 3 części połączone ażurowymi wstawkami. Górna część stanowiąca karczek zaplisowana, dwie części poniżej tylko marszczące. Rękaw gładki z małą bufką w górze plisowaną niżej marszczoną, z mankiem ze wstawki otoczonej falbanką. Kołnierz duży, wykładany, otacza wstawka i plisowana falbana. Pasek zaplisowany z materyjki z przodu zapinany.

Potrzeba: materyjki 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. koronkowej wstawki 4 ctm, szer..

## № 24. Ubranie z koszulową bluzką dla chłopca od 11—13 lat.

Spodenki z niebieskiej satyny, ściągane w dole na gumy w górze ujęte w pasek do którego przypina się bluzka. Przypięcie to pokrywa pasek z satyny, zapięty na guzik podwleczony pod przepinkami. Bluzka z kretonu w paski z przodu złożona w kontrafałdę i w trzy zakładki 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> ctm. szer., z każdej strony z tyłu zaszyty w trzy kontrafałdy. Dół bluzki ujęty w pasek, zaopatrzony guzikami dla przypinania do spodni. Kołnierz wykładany i krawat Lavallière dopełniają całość.

Potrzeba: satyny 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. 80 ctm szer., 1<sup>3</sup>/<sub>4</sub> mtr. kretonu 75 ctm. szer., 4 perłowe guziki krawat.



№ 2. Suknia z kaftanikowem upięciem bluzki.

№ 3. Kostium spacerowy z jasną kamizelką.



№ 5. Jedwabna marszczona bluzka.

czerwony. Spodnie długie, rozszerzone w dół, w górze ujęte w pasek zaopatrzony guzikami do szelek. Bluzka wyrzucana, podwleczona gumą, wkładana przez głowę. Napierśnik biały z niebieskim oszyciem. Potrzeba: satyny białej 3 $\frac{1}{2}$  mtr., niebieskiej 50 cent. 80 cent. szer. 4 mtr. pliski płóciennej, krawat.

№ 30. Sukienka z marynarskim kaftanikiem dla dziewczynki od 4-6 lat.

Sukienka z szafirowego szewiotu, przybrana białą piką i plisami z niebieskiej satyny. Spódniczka 2 $\frac{1}{2}$  mtr. szer. z kontrafałdą z przodu, od boków zaplisaną, przyszyta do staniczki z tyłu zapinanego. Na staniczku z białej satyny, przedłużonym za stan, przypięta kamizelka z niebieskiej satyny, naszyta mereszkową wstawką. Kaftanik otwarty, z dużym kołnierzem pikowym, otoczonym szeroką, satynową plisą. Rękaw paltotowy z wyłożonym mankietem z białej satyny z niebieskim szlaczkiem. Przodki zdobią złote guziczki.

Potrzeba: szewiotu 2 mtr. podw. szer., 60 cent. piki, 15 cent. satyny, 2 $\frac{1}{2}$  mtr. roronkowej wstawki 1 cent. szer. 16 złotych guzików.

№ 31. Ubranie z bluzą dla chłopca od 3-5 lat.

Ubranko z granatowego, angielskiego materiału, przybrane batystowymi mankietami i kołnierzykiem z plisowanymi falbankami 4 cent. szer. Długa bluzka kryta zapinana i szeroko zachodząca od lewej strony na prawą, zdobiona kieszonką w górze i pasek z materiału, zapinany na guziki, podwleczony pod pliski. Spodenki na podszewce, bufiaste w dół, zapinane z tyłu. Rękawy zaszyte u ręki w zakładki.

Potrzeba: materiału 1 $\frac{1}{2}$  mtr. podw. szer. 3 guziki, kołnierzyk i mankietki.

№ 32. Spódnica do kostumu dla paniąki od 14-16 lat.

Spódniczka z czarnego szewiotu przy-



Szkic a do ryc. 4.

brana w dół dwoma ukośnymi plisami z atlasową wypustką, plisy te dochodzą tylko do przodu, gdzie zakończone spiczasto krzyżują się z dwoma podłużnymi plisami pokrywającymi szyję z przodu. Plisy podłużne z atlasowymi wypustkami zakończone pasmante-ryjne guziczki. Potrzeba: szewiotu 3 $\frac{1}{2}$  mtr. podw. szerokości.

№ 33. Skromna bluzka dla paniąki od 14-16 lat.

Bluzka z flaneli w paski, skrojonej ukośnie. Przody ułożone w kontrafałdy z zaszyte w górze tworzą rodzaj karczka. Przy zapinaniu dwie proste, nałożone plisy pokrywa częściowo długi krawat z niebieskiej wstążki „Liberty”. Plecy z jedną kontrafałdą w środku, zastępowaną w całości. Rękawy szerokie, ułożone w kontrafałdy, z których jedna przedłużona pokrywa szew, ramienia kończą się pod kołnierzykiem stojąco wykładanym. Rękaw u dołu zaplisanym z mankietem. Kołnierzyk i mankiet przybrane guziczkami, ułożonymi z sutaszu.

Potrzeba: flaneli 2 mtr. podw. szer. 1 $\frac{1}{2}$  mtr. wstążki 10 cent. szer., 20 sutaszowych guziczek.

№ 34. Marynarska bluzka dla dziewczynki od 7-8 lat.

Bluzka z kretonu w niebieskie i białe paski, z kołnierzem i mankietami z niebieskiej satyny z białymi naszytymi. Bluzka otwarta z napierśnikiem kretonowym z satynowym wyszcyciem. Z pod kołnierza marynarskiego wysunięty czarny, jedwabny krawacik, przepięty kretonową patką z guzicz-



№ 6. Bluzka z lekkiej materii przybrana gipiurą. (Kroj. odw. str. tabl. Fig. 79-81).

jedwabna bluzka, od osoby starszej. (Kroj. tabl. Fig. 82-85).

Bluzka z flaneli w dół zaszyty w zakładki. Krawacik, jedwabny, związany w marynarski i czarny skórzany pasek dopełniający. Potrzeba: 2 mtr. flanelety 80 cent. szer., niebieskiego sutaszu, 30 cent. materij-ny krawat.

### Wzrosty ubiorów i robót do Nr. 21.

Bluzka z woalu przybrana plisami z taffetas.

Bluzka z woalu w modnym, zielonawym kolorze, składa się z gładkiej, powłóczystej wykończony na podszewce z taf-fetasem przedłużonego baskiną stanika, lekko drapowanego, rozchylonego z gipiury, podłużonej kremową Spódnica na szwach przednich trzymano naszyta plisami z taffetas w tym kolorze. Takież pliski przybierają



№ 11. Skromna domowa sukienka.



№ 12. Domowa zreformowana sukienka. (Patrz szkic b.)



№ 8. Bluzka z marszczoną materii z koronkowym karczkiem.

№ 9. Skromna jedwabna bluzka (Kroj pierw. str. tabl. Fig. 20-24).

stanik. Rękawy do łokcia, przemarszczone na wierzchu, zakończone falbanami. Potrzeba: 7 mtr. woalu podw. szer. 1 $\frac{1}{2}$  mtr. taffetas, 1 $\frac{1}{2}$  mtr. gipiury.

№ 2. Suknia z marszczonym kaftanikowym upięciem.

Suknię z perłowego *crépe chifon*, przybierają na sznur naciągnięte rieszki i falbanki, naszyte trzykrotnie w dół spódnicy i otaczają okrągłe, kaftanikowe upięcie bluzki. Przybranie bluzki dopełnia nadto medaljonowa, piękna gipiura, podszyta pod marszczeniem i ciągnąca się wzdłuż bufiastych rękawów. Koszulka z plisowanego chifon wypełnia wycięcie.

Potrzeba: 8 mtr. *crépe chifon*; 60 cent. chifon podw. szer., 3 mtr. gipiury 7 cent. szer. 1 $\frac{1}{2}$  mtr. ukosu taffetas, 1 $\frac{1}{2}$  mtr. wstążki 8 cm. szerokiej.

№ 3. Kostium spacerowy z jasną kamizelką.

Materiał: bronzowa, angielska welna wprążki. Spódnica gładka, w około równa. Długi paltot, redingote, z odciętymi połami, łączącymi się z przodami, złożonymi w niskie kontrafałdy. Przyszyte pół chowa się pod okrągło ułożone pliski na staniku. Rękawy gładkie, mało w górze rozszerzone. Szalowy kołnierzyk z białego sukna osztyty jedwabną, pasmanteryjną w kolorze sukni. Trzy spięcia z takież pasmanteryj. Kamizelka z plisowanego chifon.

Potrzeba: 8 mtr. materiału podw. szerokości.

№ 4. Kostium spacerowy, odpowiedni też do podróży. (Patrz szkic a.)

Kostium z angielskiego materiału szarego w białą kratkę. Spódnica z 7 części złożona, rozszerzona w dół przez kryte kontrafałdy. Szwyci spódnicy rozszyte wypustkami z ciemnej, popielatej faille, przedni bryt i ostatnie kliny zachodzące na tylny bryt, w górze wycięte w zęby, zdobią naszytymi z szalowym kołnierzem z faille, zapinane na dwa rzędy. Przody i plecy z dwóch części, wycięte w zęby otaczają wypustki i zdobią guziki. Rękaw ze szwami na wierzchu i z wypustką przy rękę, odpowiednio do całości nacięte w zęb tworząc mankiet zapinany na guziki i dziurki. Bolero na atlasowej podszewce otacza w dół wypustką faille.

Potrzeba: 6 mtr. materiału podw. szer. 85 cent. faille, 26 guzików, 3 mtr. atlasu na podszewkę.

№ 5. Jedwabna marszczona bluzka.

Bluzka z miękkiego, jedwabnego muślinu, jasno lila na podszewce z taffetas, cała marszczona w bufy. Przody przy zapięciu i od połowy ramion do stanu, zmarszczone w podwójne, małe bufeczki, na plecach tylko w dwa rzędy bufeczek bocznych. Przody i plecy zaszyte z podszewką w bokach. Zapięcie pokrywa wążka plisa z zielonego aksamitu.



Szkic b do ryc. 12.

№ 10. Kostium spacerowy albo do podróży. (Kroj pierw. str. tabl. Fig. 1-12).

zodna zielono emaljowanymi guziczkami. Kołnierzyk stojący aksamitny haftowany. Rękaw z dwóch buf, przy wszyciu w połowie i na zakończeniu wymarszczone w małe bufki, otacza koronkowa falbana.

Potrzeba: muślinu 5 mtr., 20 cent. ukośnego, zielonego aksamitu, 2 mtr. koronki 15 cent. szer. 1 $\frac{1}{2}$  tuziną guziczek.

№ 6. Bluzka jedwabna przybrana wstawkami i haftowanymi rozetkami. (Kroj odw. str. tabl. Fig. 79-81).

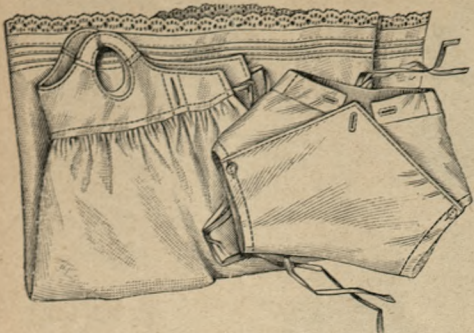
Bluzka bez podszewki z jasno niebieskiej materii „pongee”, przybrana wstawkami na *à jour* i rozetkami z taffetas haftowanymi w dziurki i ozdierganiami w około. Pasek z białej skórki zapinany brązową klamrą.

№ 7. Czarna jedwabna bluzka, odpowiednia dla starszej osoby. (Kroj odw. str. tabl. Fig. 82-85).

Bluzka czarna z materii „Liberty”, przybrana wstawkami, walansienkowymi i rozetkami haftowanymi. Rękawy całe marszczone, rozszerzone w górze, wąskie u ręki.

№ 8. Skromna jedwabna bluzka.

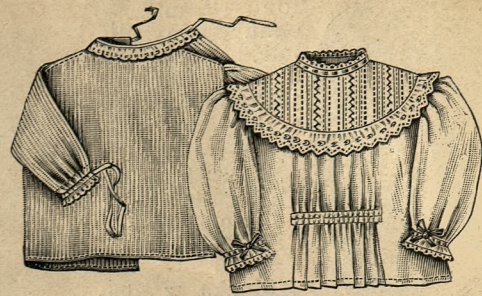
Bluzka z jedwabnej Louisiny słomkowego koloru przybrana matowo złotymi rozetkami i wstawkami koronkowymi. Bluzkę składają pasy, szersze w górze, zaszyte w zakładki, w dół zwężone i podłużnie zmarszczone. Pasy łączą koronkowe wstawki 1 cent. szer. W górze zdobią bluzkę w rodzaju karczka, koronkowe rozety, podłożone chifon. Rozety niektóre zachodzą brzegiem na stojący kołnierzyk w zakładki, otoczony w górze w dół aksamitką, naszyty w połowie wysokości



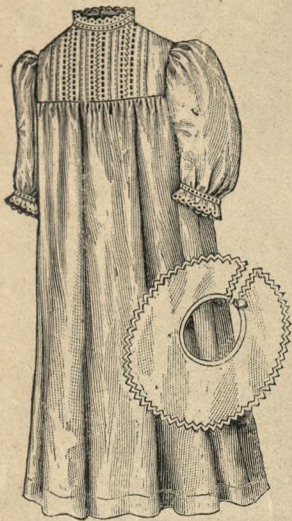
№ 13 i 14. Spódniczka ze staniczkim i majteczki dla małego dziecka. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 48-50).



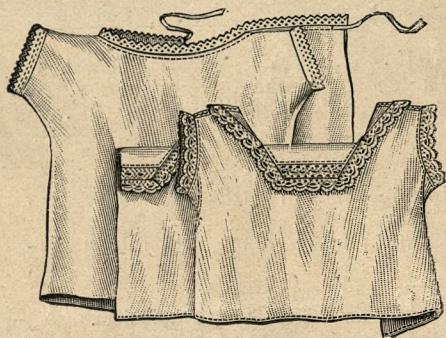
№ 15 i 16. Peleryna i płaszcz dla dziecka na rękę. (Krój odw. str. tabl. Fig. 107-115).



№ 17 i 18. Kaftaniki dla małego dziecka. (Krój odw. str. tabl. Fig. 118-123).



№ 19 i 20. Sukienka dla dziecka na rękę i śliniaczek. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 42-45).



№ 21 i 22. Koszulki dla niemowląt. Krój odw. str. tabl. Fig. 116 i 117).



№ 23. Kąpielowe okrycie z kaftanikiem. (Zmniejsz. forma i deseń pierw. str. tabl. Fig. 31-32).

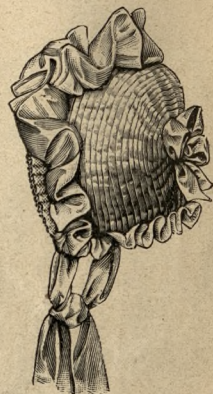
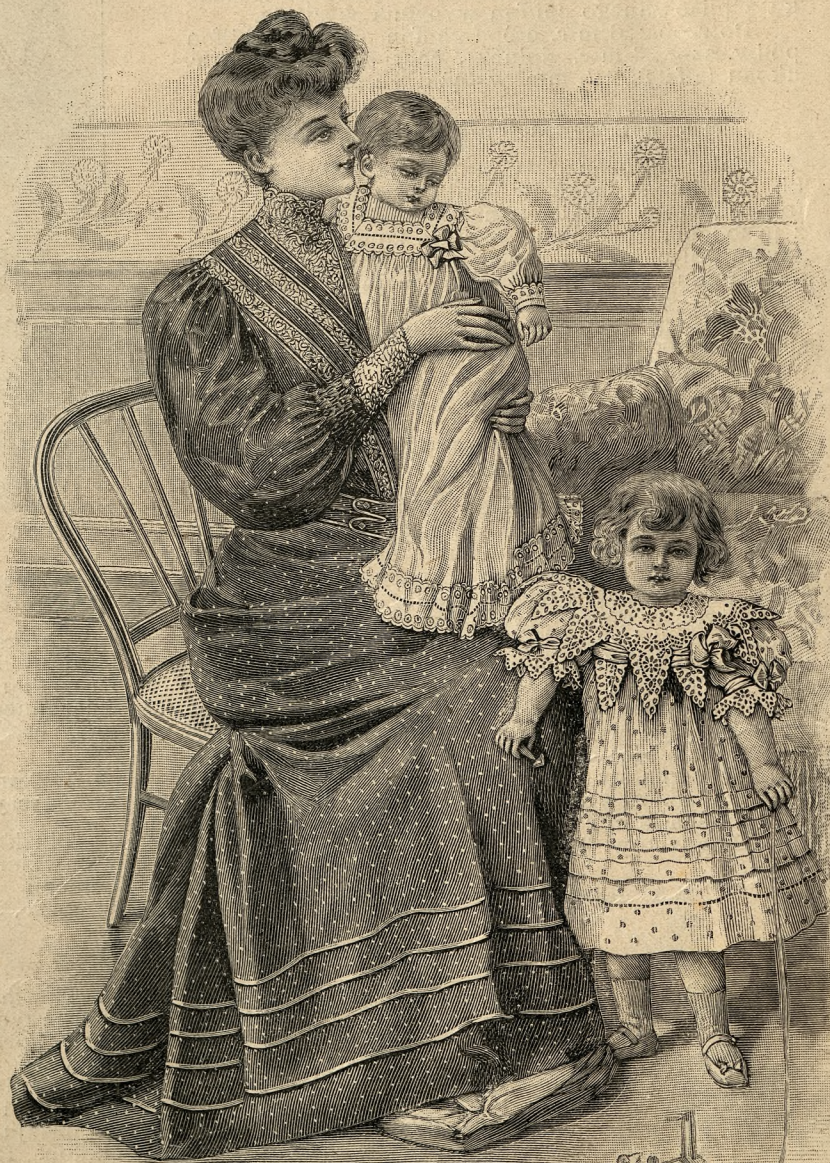
№ 24. Flanelowy kaftanik dla małego dziecka. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 32 i 33).



№ 25. Kapturek dla małego chłopca. (Krój odw. str. tabl. Fig. 104-105).

małymi rozetkami. Rękaw z dwóch buf, przewiązanych i zakończonych aksamitką 4 cent. szerok., związaną na kokardki, koronkowe falbany otaczają półdlugie rękawy. Pasek z aksamitki 9 cent. szer., przeprowadzonej od przodu, skrzyżowanej z tyłu i z powrotem na przodzie związanej na kokardę. Bluzka na podszewce, połączona z nią w szwach bocznych i na ramionach.

Potrzeba: 4 mtr. materyi, 6 mtr. wstawki, 1 1/2 tuzina dużych, 10 małych rozetek, aksamitki 2 1/2 i 1 3/4, 1 1/2 mtr. koronki.



№ 29. Kapturek dla małej dziewczynki. (Krój odw. str. tabl. Fig. 106).

### Obiad na Niedzielę.

Barszcz z młodą bówciną.  
Paszteciki w francuskim cieście.  
Karp w maderowym sosie.  
Roastbeef z kartofelkami.  
Szparagi z masłem.  
Kurczęta à la chasseur.  
Kompoty, sałata.  
Krem ananasowy.

Barszcz z młodą bówciną.  
Pieróg w drożdżowym cieście.  
Szparagi.  
Cielęcina z sałata i kompotem.  
Krem ponczowy.

